wielki mały strateg 4

tragedia wielkich jezior 11

suche majtki na dnie morza 12-13

piłka w bawełnie 14

BIBLIOTEKA

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

36
(63)
KONTAKTY
13.IX.1981
Cena 6 zł

Fot. GABOR LÖRINCZY

Z cyklu: Szanujmy wiedzę naszych przodków

ADAM JERZY SOCHA

przeciąganie kolczastym drutem

Ciąg dalszy na str. 8—9

NIE DAJMY SIĘ BIEDZIE

Jedenaste bawełniane godzina

JERZY MILCZAREK

Czas bicia produkcyjnych rekordów, pnących się ku niebu wskaźników, należy w zambrowskiej „Bawełnie" do minionych.

— Teraz jest równo źle — mówi kierownik działu planowania, Wacława Galińska, i rysuje na kartce linię, która zrazu powoli, a później raptownie leci ku ziemi. To produkcja. Drugą linię — funduszu płac — ciągnie pani Galińska ku górze. W punkcie gdzie pierwsza linia przechodzi w tor saneczkowy, druga zmienia się w górską stromiznę. Zambrowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego im. Rewolucji Październikowej w II kwartale tego roku osiągnęły bezapelacyjne zwycięstwo w ilości nie przepracowanych godzin wśród zakładów województwa łomżyńskiego.

*

Statystyczny „bawełniak" pracuje 18 dni w miesiącu. Pozostałe 9 dni jest poza zakładem. Rezultat: 16-procentowy spadek produkcji, czyli czterysta tysięcy kompletów pościeli

Ciąg dalszy na str. 8—9

po III Plenum KC PZPR

Poświęcone ono było kształtowaniu pozycji samorządu w przedsiębiorstwach. Referat programowy wygłosił Jan Główczyk. Oto niektóre tezy tego referatu:

● Nowy mechanizm ekonomiczny powinien stworzyć skuteczne bodźce do wydajnej pracy.

● Społeczna kontrola nad kształtowaniem generalnych kierunków rozwoju kraju i bieżącej polityki społeczno-ekonomicznej państwa zapobieganie niebezpieczeństwu nieliczenia się z prawami ekonomicznymi.

● Należy stworzyć możliwości szerokiego udziału ludzi pracy w zarządzaniu zakładami i przedsiębiorstwami.

● Powoływanie dyrektora powinno być dokonywane w imieniu państwa przez organ założycielski spośród kandydatów wyłonionych przez komisję konkursową. Warunkiem nominacji ma być uzgodnienie kandydatury z samorządem pracowniczym.

● Samorząd powininen być suwerenną organizacją załogi, a nie komórką organizacji związkowych, czy też politycznych grup nacisku.

● Partia nie uchyli się od podejmowania decyzji ekonomicznych, ponieważ nie ma nic bardziej politycznego niż decyzje ekonomiczne.

Z PRZEMÓWIENIA KOŃCOWEGO Stanisława Kani:

— o reformie gospodarczej: „Nie stać już gospodarki na pomyłki. Dlatego trzeba z rozmachem przygotować warunki dla wcielenia w życie reformy i równocześnie stosować bardzo surowe kryteria wprowadzenia reformy w życie. Musimy działać tak, aby dobry skutek był gwarantowany."

— o polityce kadrowej: „Państwo nie może zrezygnować z prowadzenia polityki kadrowej w gospodarce narodowej. Wynika to z historycznej odpowiedzialności, jaką ponosi PZPR za rozwój kraju, za jego socjalistyczny kształt".

— o obronie socjalizmu: „Chciałbym z całą mocą i spokojem oświadczyć, że dla ochrony socjalizmu władza sięgnie po wszystkie środki jakie się okażą niezbędne".

— życzenia dla I Zjazdu NSZZ „Solidarność": „Życzymy zjazdowi, żeby stał się forum kształtującym program „Solidarności" jako związku zawodowego, program organizacji, która chce służyć robotniczym interesom i Polsce Ludowej. Taka organizacja jest potrzebna w naszym kraju. Będziemy oceniać „Solidarność" i wyciągać wnioski po fakfaktach".

— o rozmowach na Krymie: „Oceniając w czasie rozmów na Krymie naszą sytuację kierowaliśmy się ocenami IX Zjazdu i II Plenum KC. Mówiliśmy otwarcie o naszych trudnościach ekonomicznych. Przedstawiliśmy zagrożenie dla naszego kraju, zagrożenie o kontrrewolucyjnym charakterze. Ludzie radzieccy z dużym zadowoleniem przyjmują oznaki wzrostu aktywności i zwartości naszej partii, zwłaszcza w ostatnim okresie".

Z UCHWAŁY III PLENUM KC PZPR.

● Podstawowe znaczenie dla tworzenia samorządów pracowniczych i wprowadzenia przedsiębiorstw na tory samodzielności ma uregulowanie w możliwie krótkim czasie podstaw prawnych niezbędnych do wprowadzenia reformy z dniem 1 stycznia 1982 r. Komitet Centralny zaleca Klubowi Poselskiemu PZPR podjęcie inicjatywy utworzenia w Sejmie PRL komisji ds. samorządu pracowniczego, której zadaniem byłoby sprawowanie pieczy nad funkcjonowaniem i rozwojem samorządu załóg w przedsiębiorstwach. Analogiczne inicjatywy powinny podjąć zespoły partyjnych radnych w WRN.

● Organizacje partyjne w przedsiębiorstwach powinny przejawiać inicjatywę w działaniach na rzecz organizowania samorządu pracowniczego i kształtowanie jego wysokiej pozycji. Do organów tych powinni być wybierani najlepsi, najbardziej doświadczeni pracownicy, o właściwej postawie moralnej, zaangażowani w pracy społecznej, posiadający autorytet wśród załogi.

● Dla prawidłowego funkcjonowania przedsiębiorstw sprawą zasadniczą jest przygotowanie i właściwy dobór kadry, zwłaszcza kierowniczej. Kadra ta winna być chroniona przed nieuzasadnionymi atakami.

● Komitet Centralny zobowiązuje ponadto organizacje partyjne w przedsiębiorstwach i innych jednostkach w całym okresie przygotowań do aktywnego uczestniczenia we wdrażaniu reformy.

● Komitet Centralny PZPR zobowiązuje Biuro Polityczne do okresowych ocen przebiegu wdrażania reformy oraz funkcjonowania samorządu załóg przedsiębiorstw.

Z PRZEMÓWIENIA CZŁONKA KC PZPR z województwa łomżyńskiego, Witolda Malinowskiego:

„...nadmiar administracji w kraju to jest to samo, co nadmiar trutni w rodzinie pszczelej. Słaby bartnik doprowadził do tego, że powstało wiele mateczników, w jednej rodzinie powstają liczne rodziny, dlatego następuje rozbicie. (...) Dalsza sprawa to kartki na mięso dla rolników. To nie było przemyślane. A dlaczego by nie ująć po kilogramie mięsa każdemu rolnikowi i oddać je dla górnictwa, albo hutnictwa, dla klasy robotniczej w mieście?"

POPLENARNE REFLEKSJE:

● Od ponad roku czasu było to pierwsze problemowe plenarne posiedzenie KC PZPR. Poprzednie zajmowały się aktualną, skomplikowaną sytuacją jaką mamy w kraju od sierpnia ubiegłego roku.

● Komitet Centralny omawiając zadania partii w kształtowaniu pozycji samorządu załóg przedsiębiorstw podjął jedno z zasadniczych zagadnień wynikających z prac nad reformą gospodarczą, a ponadto mający ścisły związek z konstytucyjnymi zasadami naszego ustroju. Z faktem tym niewątpliwie wiązać można charakter dyskusji na III Plenum. Tym razem nie stanowiła ona (jak to bywało poprzednio) listy zarzutów i skarg określonych regionów i środowisk pod adresem centralnych władz partii i rządu, a dotyczyła spraw określonych tematem plenum i wskazywała na drogi i kierunki rozwiązywania dyskutowanych zagadnień. Wiele wystąpień cechowała pryncypialność w obronie socjalistycznej koncepcji samorządu pracowniczego. Podkreślono potrzebę walki z anarchicznymi jego koncepcjami, zmierzającymi do uczynienia z samorządu narzędzia walki o władzę ekonomiczną w zakładach pracy.

● Bardzo aktywna (ponad 50 mówców), często polemiczna i kontrowersyjna dyskusja nad referatem Biura Politycznego była bogatym materiałem konstrukcyjnym do pracy dla komisji wnioskowej. W konsekwencji została podjęta uchwała, treść której jest już znana czytelnikom. Dodać mogę jedynie to, że jest to druga wersja uchwały, przyjęta również z kilkoma poprawkami i ugłosowaniem przez uczestników obrad.

● Obecnie po III Plenum KC instancje i organizacje partyjne w zakładach pracy powinny zaintensyfikować działania zmierzające do jasnego sprecyzowania formuły samorządu robotniczego — każdy na własnym podwórku — i wspólnie ze społeczno-zawodowymi organizacjami aktywnie przygotowywać się do urzeczywistnienia wypracowanych form.

WŁODZIMIERZ MICHALUK
z-ca członka KC PZPR
I sekretarz KW PZPR w Łomży

ZAKOŃCZYŁA SIĘ PIERWSZA część I Zjazdu NSZZ „Solidarność". W przemówieniu powitalnym Lech Wałęsa powiedział m.in.: „Jesteśmy tu z woli tych, którzy nas wybrali — ludzi pracy całej Polski. Każdy z nas oddzielnie znaczy niewiele, wszyscy — znaczymy tyle, ile znaczy siła tych milionów ludzi, którzy tworzą „Solidarność" i im — tylko im — chcemy być wierni w czasie tych obrad. Jesteśmy związkowcami. ale przede wszystkim jesteśmy Polakami. Będziemy radzić nad tym, jaką drogą mamy pójść dalej i nad tym jak dźwignąć naszą Polskę. (...)

Jesteśmy niezależni i samorządni, ale działamy w państwie i jako gospodarze tego zjazdu z szacunkiem witamy przybycie delegacji rządowej. Nie jestem dyplomatą, powiem więc otwarcie: do ostatniej chwili przed rozpoczęciem tego Zjazdu padało wiele słów, których nie można było uniknąć. Oczekuje się od nas, odpowiedzi na różne pytania. Będziemy tu nad nimi radzić. Ale to także my oczekujemy odpowiedzi na zasadnicze pytania. Rok temu mówiliśmy, że rozmawiamy jak Polak z Polakiem. Teraz, po dwunastu miesiącach wielu konfliktów, chcemy wiedzieć, czy już dojrzała chwila zrozumienia, że tej drogi, którą otworzyliśmy w sierpniu nie da się odwrócić a „Solidarność nie da się podzielić ani zniszczyć."

W NIEDZIELĘ, 6 września, na Jasnej Górze celebrowano uroczystą mszę dziękczynną z obfite plony. Delegacje rolników zrzeszonych w NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność" składały bochny chleba z tegorocznej mąki oraz dożynkowe wieńce. Województwo łomżyńskie reprezentowała 90-osobowa grupa z Franciszkiem Legackim.

ZAKOŃCZONO ZBIÓR zbóż w województwie. Pogorszenie warunków atmosferycznych utrudnia sprzęt gryki, prosa, lnu i wczesnych ziemniaków.

Znacznie zaawansowano przygotowania do siewów jesiennych do 26 sierpnia podorano 58 proc. ściernisk, skoszono 82 proc. drugiego pokosu traw.

W Oddziałach Centrali Nasiennej zakończył się przerób kwalifikowanego żyta. Uzyskano 785 ton nasion kl. I i II, 132 tony — III, dyskwalifikowano 6 ton.

Dobiega końca przerób pszenicy ozimej. Uzyskano 362 tony nasion czystych, z przebadanych dotychczas 58 ton całości zakwalifikowano w kl. I i II.

Otrzymany przydział nasion kontraktacją (pszenica ozima — 545 ton, żyto — 3189 ton) nie pokrywa zapotrzebowania województwa. Wydział Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa UW w Łomży wystąpił o dodatkowy przydział 200 ton żyta i 600 ton pszenicy ozimej w ramach pomocy siewnej.

Rośnie zainteresowanie rolników nawozami mineralnymi. Wszystkie geesy posiadają pełny ich asortyment, ale mniej (poza potasowymi) niż przed rokiem (azotowych o 21 proc., fosforowych o 58 proc.).

Dość dobrze przebiega wapnowanie gleb. Wysiano 20 proc rocznego planu siewu wapna, niemniej w III kwartale dostawy wapna dla województwa będą za małe.

Zaopatrzenie w środki chemiczne jest złe, zwłaszcza w zaprawy nasienne. Potrzeba ich 6500 kg, posiadamy 2770 kg, co wystarczy tylko na zaprawienie części żyta i pszenicy ozimej dostarczonej w ramach planowego odnowienia.

ZARZĄD MIEJSKI ZSMP informuje, że z dniem 20 sierpnia br. rozpoczął działalność pośredniczącą w zakresie wynajmu prywatnych kwater dla uczniów łomżyńskich szkół średnich. W związku z powyższym prosimy wszystkich właścicieli dysponujących kwaterami o zgłoszenie ich do nas podając ilość miejsc, warunki lokalowe, dokładny adres i ceny wynajmu od jednej osoby. Natomiast uczniów, którzy do chwili obecnej nie mają zakwaterowania — o kontakt osobisty lub telefoniczny na adres: Zarząd Miejski ZSMP w Łomży, ul. Senatorska 50, tel. 37-02.

Jednocześnie informujemy, że tego typu pośrednictwo prowadzą Zarządy Miejsko-Gminne ZSMP w: Zambrowie — tel. 35-49, Grajewie — tel. 27-12, Kolnie — tel. 26-57 i Wysokiem Mazowieckiem — tel. 21-57.

OBCHODY 32 ROCZNICY tragicznego Września rozpoczęło odsłonięcie Pomnika Nieznanego Żołnierza w Radziłowie oraz wręczenie tamtejszemu kołu ZBoWiD sztandaru. W uroczystości udział wzięli: m.in. I sekretarz KW Włodzimerz Michaluk, wiceprezes ZW ZBoWiD, ppłk Tadeusz Olejniczak, przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa. Józef Surowiec.

1 września po południu przedstawiciele różnych grup społecznych i zawodowych złożyli wieńce i wiązanki kwiatów w miejscach pamięci narodowej. Wieczorem w katedrze łomżyńskiej ks. kanonik Eugeniusz Chyliński odprawił uroczystą Mszę Świętą w intencji obrońców Ojczyzny.

12 WRZEŚNIA Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Łomży uczci XXXVII rocznicę wyzwolenia miasta. W czasie uroczystej sesji, na której zostaną m.in. wręczone odznaczenia regionalne i państwowe oraz sztandar dla miejskiej organizacji ZBoWiD.

konto otwartych serc

Przypominamy! Łomżyńskie organizacje młodzieżowe (ZHP, ZMW, ZSMP), Polski Komitet Pomocy Społecznej i Redakcja „Kontaktów" ogłosiły zbiórkę pieniężną od osób prywatnych i instytucji dla najbardziej potrzebujących ludzi ułomnych. Celtej zbiórki konkretny: na wkłady mieszkaniowe dla 12 inwalidów żyjących w skandalicznych warunkach. Jeżeli uda się nam zgromadzić potrzebne kwoty Wojewódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa przyzna im lokale już w przyszłym roku. Chcielibyśmy też móc wspierać finansowo źle sytuowanych ułomnych.

Każdy ofiarodawca staje się współakcjonariuszem i będzie mógł brać udział w otwartych posiedzeniach komisji dzielącej zebrane fundusze.

Czekamy na odzew otwartych serc na konto PKO Oddział w Łomży 45519-1065-132 z dopiskiem: Konto otwartych serc. Jego stan na dzień 1 września wynosi: 18 700 złotych.

Pierwszą ofiarodawczynią jest pani Elżbieta Piotrowska, zamieszkała w Łomży, przy ul. Rządowej 10 m 8 (100 zł). Druga wpłata w wysokości 10 000 złotych wpłynęła również od łomżynianki, która woli nie zdradzać swojego nazwiska. Jest to starsza, przewlekle chora pani dobrze rozumiejąca potrzeby ludzi młodych i schorowanych. Chociaż mieszka w skromnych warunkach twierdzi, że jest dostatecznie zamożna, żeby przekazać taką kwotę na ten szlachetny cel. Trzecia na liście zapisała się młodzież. Członkowie Zarządu Miejskiego ZSMP w Łomży przekazali 8600 złotych wypracowanych w ramach funduszu Akcji Socjalnej Młodzieży. Wszystkim ofiarodawcom składamy podziękowania.

zdarzenia

ZDANIE TYGODNIA: „WŁADZA MA ADMINISTROWAĆ, A NIE UFAĆ. MA ADMINISTROWAĆ KAŻDYM SPOŁECZEŃSTWEM, PRACOWITYM I NIESFORNYM, ROZSĄDNYM I SZALONYM". (Marcin Król „Problemy elementarne", „Tygodnik Powszechny" nr 35).

MYŚL Z ATESTEM: „NIE SZAFUJCIE NIENAWIŚCIĄ PONAD MIARĘ SIŁ, KTÓRYMI ROZPORZĄDZACIE" (Stanisław Jerzy Lec).

krajobraz po bitwie

STANISŁAW EHRLICH

Tytuł jest nieścisły, bowiem bitwy były trzy: niezwykła bitwa na Nadzwyczajnym Zjeździe partii oraz dwie następne, których przebiegu nie sposób zrozumieć, jeżeli nie sięgnie się do kilkunastogodzinnego turnieju kontestacyjnego w salonach Rady Ministrów. Otóż ten turniej wyznaczył tok następnego przeciwnika. Były to więc jednocześnie toczące się zmagania na KKP w Gdańsku i na drugim Plenum KC. Ale następne bitwy znowu przed nami.

W rezultacie tych trzech bitew, które — rzecz jasna — niczego nie mogą zamykać, a są jedynie etapami nie zakończonego procesu przemian, powstała zupełnie nowa sytuacja, nowa konfiguracja sił. Co się właściwie stało?

Na oczach narodu zdemokratyzowano partyjne struktury. Nie oglądając się na zrzędzenia o „amoku wyborczym", przeprowadzono autentycznie demokratyczne wybory, co uznała cała prasa zachodnia bardzo lojalnie — i tę sprawiedliwość trzeba jej oddać. Krótko mówiąc, partyjna piechota wzięła cytadelę konserwatyzmu i dzięki temu nastąpiła gruntowna przebudowa rządu Jaruzelskiego, który jest na pewno bogatszy w gorzkie doświadczenia, wykazujący lepszą wolę, o składzie bardziej kompetentnym niż jakikolwiek rząd poprzedni. A każdy, kto ma elementarne rozeznanie w polityce, wie, że 90 proc. jej zagadnień to personalia. Mąż stanu działa w ramach uwarunkowań społecznych i politycznych zaszłości, ale jego osobowość wyciska na nich indywidualne piętno. Ale jaką ten rząd może wykazać się pożyteczną działalnością, skoro z punktu dezawuuje się go i ośmiesza?

o groźnym sankiulocie

Oczywiście, wobec doświadczeń przeszłości trzeba zachować najdalej idący krytycyzm. Jednak ten krytycyzm wymagał rzeczowej analizy tego, co zaszło na zjeździe. Jego wyniki nie dadzą się schować pod korzec. Zamiast tego, z partyjno-rządowej strony barykady ktoś poplątał magmę z błotem (słownik wyrazów obcych, niestety, jest wyczerpany), a niektórzy działacze „Solidarności" zakrzyknęli „władza jest rozmyta", reforma jest wprawdzie „znacząca", ale rząd jej nigdy nie potrafi przeprowadzić, co jest logiczne w świetle od lat głoszonej tezy, że ustrój ten jest niereformowalny. A jeżeli tak, to równie logicznie będzie rzucić hasło: — Rewolucja!

Odzew był równie łatwy do przewidzenia: — Kontrrewolucja!

Ale z tym radziłbym być ostrożny. Zbyt świeża i bolesna jest pamięć robotników. Najpierw napiętnowano ich jako kontrrewolucjonistów, a potem zaczęto im stawiać pomniki...

Nie dramatyzujmy jednak tego dialogu, starajmy się — zamiast dalej rozpalać groźnie bulgocący kocioł — wypuścić z niego parę.

Groźny mąż w czapce frygijskiej na głowie i w szarawarach sankiuloty, z rewolucyjną piką w dłoni, gdy tak kroczył przez ulice Warszawy budząc popłoch wśród małowiernych, przywiódł mi na myśl przedwojenną żydowską (teraz już można) anegdotę: niesolidnego kupca dopadli jego współwyznawcy gdzieś na Nalewkach czy na Gęsiej i podtykając mu weksle pod nos, wrzeszczeli: — Płacisz pan, czy nie płacisz? — I wtedy padła słynna odpowiedź: — Jak mówię, że nie płacę, to nie płacę. A jak mówię, że płacę, to ja mówię...

Otóż to. Okrutny sankiulota o rewolucji... mówi. A gadanie to nie jest przestępstwo i zapewne dlatego takie trudności z wytoczeniem mu procesu. Zarówno rewolucja, jak i kontrrewolucja, polega na działaniu.

Cała ta wrzawa nie jest jedynym przykładem ideologizowania sporów, co nie znaczy, że lekceważę ideologię, tylko trzeba wiedzieć, czym ona jest i do czego służy.

A więc są ludzie, którzy pragną założyć Polską Partię Pracy. Jeżeli ich dobrze rozumiem, chodzi tu o Polską Labour Party. Otóż trzeba powiedzieć, że nazbyt często przypisuje się pewnym niefortunnym wypowiedziom poszczególnych działaczy „Solidarności" rangę stanowiska zajętego przez władze całej wielomilionowej organizacji. Nie sprzyja to dialogowi.

czego jeszcze się boimy?

Czujni, których nie brak, mogą zakrzyknąć, że bagatelizuję wielkie niebezpieczeństwo, a lekkomyślność tę zademonstrowałem już przed chwilą w obliczu groźnego kontrrewolucyjnego sankiuloty. Co zrobimy, jeżeli znajdą się zwolennicy owej Partii Pracy?

Oczywiście, taka możliwość zachodzi, ale nie zapobiegną jej ani gromy ideologiczne, ani salwy propagandowe, ale taka działalność partii, powtarzam — działalność, która sprawia, że klasa robotnicza uznaje czyli aktywnie wielkoprzemysłowi robotnicy setkami i tysiącami. Nie wolno lekceważyć ich trudu, ich dobrej woli, nie wolno marnować takiego kapitału. W niejednym społeczeństwie, w którym dominuje bierność i małostkowość zainteresowań klasy robotniczej, można by nam pozazdrościć takiej postawy robotników. A tu przychodzą z anarchosyndykalizmem...

odrzućcie trąby jerychońskie

Przytoczony materiał dowodzi, że możliwe jest dyskutowanie bez pieniackiego zacietrzewienia, ze znajomością rzeczy. Ideologia nie zastąpi śrubokrętu, jakkolwiek by ją rozumieć.

Zaprawdę, powiadam Wam, odrzućcie trąby jerychońskie! W końcu trzeba zrozumieć, że z krajobrazu polskiego nic nie usunie dwóch warowni; na jednej z nich powiewa sztandar „Solidarności", na drugiej

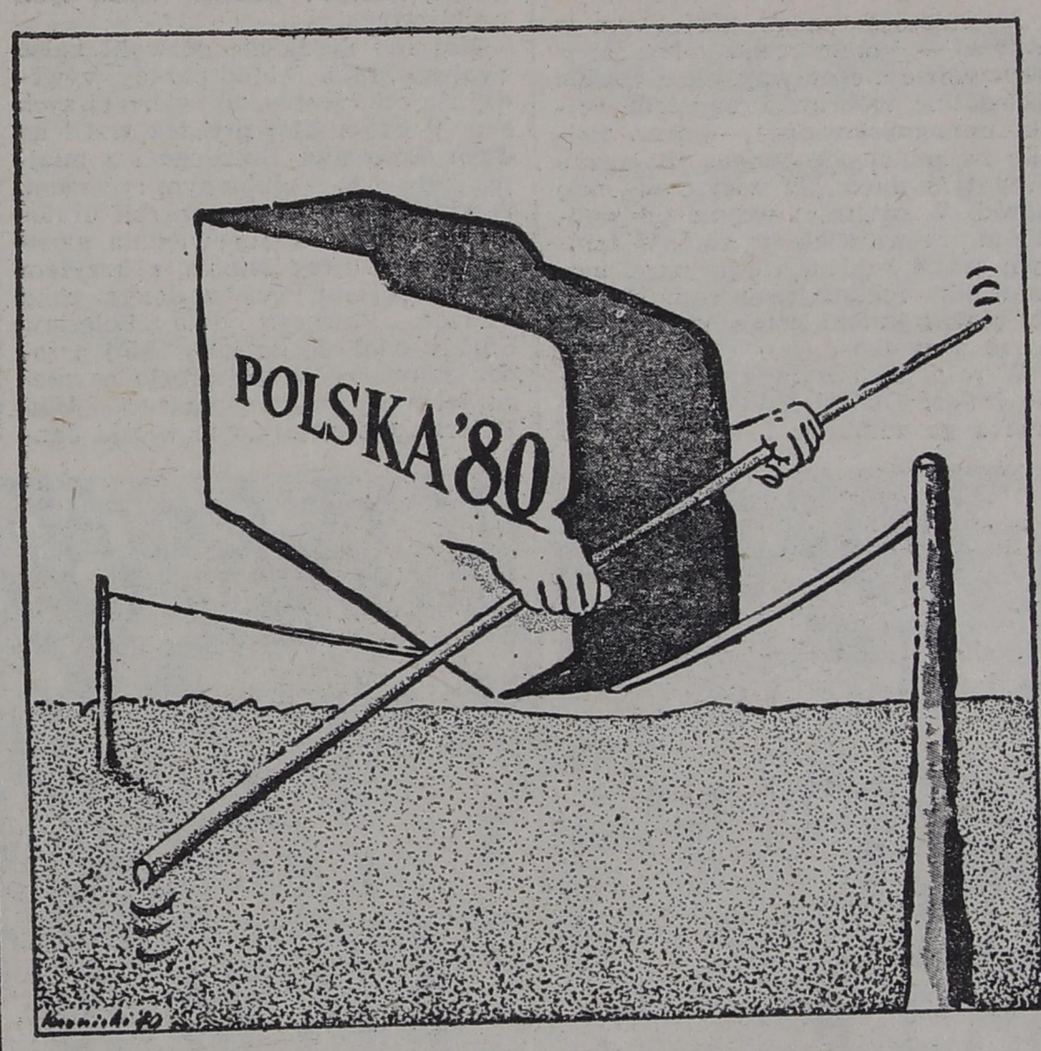

ją za swoją. Nie znam innej drogi, a wiedzę tę czerpię z historii międzynarodowego ruchu robotniczego.

Projekt „Sieci", przygotowywany przez załogi wielkich przedsiębiorstw, wspomagany przez ekspertów, poświęcony jest tak ważnemu zagadnieniu, jak samorząd i organizacja przedsiębiorstw. Były w nim pewne potknięcia, były sprawy nie do końca przemyślane. I cóż z tego? Czy partia ubiega się o monopol robienia błędów. Błędów? No, bardzo to kurtuazyjnie powiedziałem. Tymczasem błędy popełnione w dokumencie „Sieci" skorygowano w autopoprawkach. Ale zanim to nastąpiło, szybko gruchnęła salwa dywizjonu ideologicznego: — Anarchosyndykalizm!

W tym miejscu zdejmuję rękawiczki i nie bawiąc się w ceregiele, powiadam krótko: nonsens. Nie widzę potrzeby uzasadnienia swojego stanowiska, ponieważ inni uczynili to przede mną. Wyjaśnienie znajdzie czytelnik w bardzo sensownym „Scenariuszu Zespołu 9" — w sprawie przedsięwzięć i kroków, które — jak sądzimy — są niezbędne dla przeciwdziałania dalszemu rozkładowi gospodarki narodowej i zapobieżenia katastrofie społeczno-gospodarczej oraz dla wyjścia z kryzysu. („Życie i Nowoczesność" z 13.V. br.). Dla lepszego rozeznania można również przeczytać artykuł Jerzego Kleera w „Polityce" z 15.VIII br.

Od siebie jeszcze dorzucę, że niezależnie od meritum sprawy, niezwykle cenny to objaw, że w opracowaniu projektu „Sieci" uczestniczą aktywnie wielkoprzemysłowi robotnicy setkami i tysiącami. Nie wolno lekceważyć ich trudu, ich dobrej woli, nie wolno marnować takiego kapitału. W niejednym społeczeństwie, w którym dominuje bierność i małostkowość zainteresowań klasy robotniczej, można by nam pozazdrościć takiej postawy robotników. A tu przychodzą z anarchosyndykalizmem...

odrzućcie trąby jerychońskie

Przytoczony materiał dowodzi, że możliwe jest dyskutowanie bez pieniackiego zacietrzewienia, ze znajomością rzeczy. Ideologia nie zastąpi śrubokrętu, jakkolwiek by ją rozumieć.

Zaprawdę, powiadam Wam, odrzućcie trąby jerychońskie! W końcu trzeba zrozumieć, że z krajobrazu polskiego nic nie usunie dwóch warowni; na jednej z nich powiewa sztandar „Solidarności", na drugiej PZPR. Trzeba zrozumieć, jakie wnioski płyną z faktu, że co 10 członek „Solidarności" należy do PZPR, a co piąty delegat na Nadzwyczajny Zjazd był członkiem „Solidarności". Zofia Grzyb, której nie cytuję jako członka Biura Politycznego, ponieważ ci przychodzą i odchodzą, niektórzy nawet w niesławie, ale dlatego, że ta mądra robotnica, członkini „Solidarności", powiedziała o niej bardzo pięknie: „Poszłam za ludzką nadzieją". Nie wolno jej zawieść. Trzeba natychmiast przerwać tę narodową tragifarsę: kurtyna w dół!

jak odbudować wzajemne zaufanie?

Podczas gdy jedni szukają stref konfliktu, i to zarówno niektórzy działacze „Solidarności", jak i partyjni dyskutanci, nie mówiąc już o krzyżakach z „Grunwaldu" — ja sądzę, że trzeba szukać stref porozumienia. W ciągu roku nastąpił straszliwy regres. Podczas gdy jesienią ubiegłego roku obie strony na „przeciwnym" brzegu umocniły przyczółki zaufania, latem tego roku zostały one zlikwidowane. Nic nie zostało. Górę wzięły namiętności, wrzawa rekryminacji zagłuszyła głos rozsądku, „zacisnęły się pięści". Tymczasem negocjacje rozpoczyna się i kończy uściskiem dłoni.

Wydaje się, że tym ogniwem, za które trzeba mocno uchwycić — jak mawiali staromarksiści — aby wyciągnąć ten ciężki łańcuch z bagna, jest ogniwo wzajemnego zaufania. Jak je zacząć odbudowywać? Nasuwa mi się kilka propozycji doraźnych, z różnych dziedzin, ale wiem, że mogą być lepsze, że może ich być o wiele więcej.

1. A może by tak zakończyć wreszcie dochodzenie w sprawie „bydgoskiej" i wyciągnąć odpowiednie konsekwencje?

2. A może by tak Rada Państwa rozpatrzyła wreszcie sprawę opolskich terrorystów, z których młodszy jest jawnym piromanem? Prawnicy nie mają wątpliwości, że wyrok był nadmiernie surowy.

3. A może by tak prasa partyjna zdobyła się na to i pełnym głosem powiedziała, że uchwała KKP w sprawie ponownego podjęcia pracy w 8 wolnych sobotach jest krokiem konstruktywnym i aktem obywatelskiej odwagi?

4. Onyszkiewicz słusznie powiada — za pozwoleniem Pana Cenzora — że nasze prawo jest niespójne. Nowe prace legislacyjne uczynią je jeszcze mniej spójnym. Jeżeli myślimy systemowo, to nie można nadal działać wycinkami, inaczej nieuchronnie zaczyna się rodzić nowe sprzeczności i nowa okazja do „poszukiwania stref konfliktu". Konieczne jest wypracowanie koncepcji ustrojowej, odpowiedniej do przemian, które się dokonują i obecnie już łatwo dających się przewidzieć. Proponuję zatem, aby nie czekając na żadne nowe naciski — powołać wczesną jesienią Komisję Konstytucyjną. Mogłaby spokojnie przygotować projekt nowej ustawy zasadniczej, a także nowej ordynacji wyborczej do Sejmu. Do końca obecnej kadencji dosyć na to czasu. Kompetentni eksperci „Solidarności", oczywiście, powinni w niej wziąć udział, komisja ta nie powinna być zbyt liczna. Batalion ekspertów nie jest ani dowodem demokracji, ani gwarancją dobrze zorganizowanej pracy.

5. Jeżeli zgodzić się z powyższym punktem, to siłą rzeczy nasuwa się postulat rozważenia nowych ram organizacyjnych naszego życia politycznego. Front Jedności Narodu od dawna stał się pustą muszlą, na próżno by w niej szukać pereł. Formułą bardziej odpowiednią wydaje się Front Umowy Społecznej, w której — obok „trójpolówki" sojuszniczej z ad hoc dobranymi bezpartyjnymi — powinna się znaleźć odpowiednio liczna reprezentacja laikatu katolickiego. Front Umowy Społecznej nie miałby służyć działalności pozorowanej ani być miejscem rytualnych, beztreściwych zebrań, ale Polityczną Izbą Clearingową polskiego społeczeństwa, socjalistycznego i pluralistycznego.

6. A może by tak wspólnie z „Solidarnością" rozpocząć kampanię w sprawie pożyczki ocalenia publicznego? Nie chodzi tylko o zmniejszenie nawisu inflacyjnego, ale właśnie o rozszerzenie owej sfery wzajemnego zaufania, wywołania pewnej korzystnej reakcji łańcuchowej, stworzenie dobrego precedensu.

7. Kilka dni temu przeczytałem przenikliwy artykuł Władysława Bieńkowskiego o nędzy naszej oświaty. Jej blasków autor się nie doszukał. Ktoś z oficjalnych osób w radiu ciepło wspomniał Włodzimierza Brusa. To ładnie. A może by dopuścić do głosu i działalności wszystkich odsuniętych mściwą samowolą. Wszystkich tych, którzy cieszą się autorytetem, przecież nie z powodu represji, ale z powodu kompetencji właśnie, która stała się represjonowania powodem. Sądzę, że na te listy proskrypcyjne społeczeństwo jest bardzo uczulone.

Kiedy tak spoglądam na ten swój spis pobożnych życzeń, dochodzę do wniosku, że sprawa wiarygodności ośrodka decyzji politycznej nie jest aż tak skomplikowana. Trzeba tylko zacząć chcieć. Jeżeli na tę drogę wejdziemy, to nasze jutro nie będzie jeszcze „śpiewać", ale może gdzieś w kącie zacznie cichutko nucić.

punkt widzenia

wielki mały strateg

Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że w jednej z najstarszych ruder, przy równie stareńkiej łomżyńskiej ulicy, mogą ważyć się losy świata! Chata, w której zamieszkuje Mistrz \ ojennej Strategii — jak go określają sąsiedzi — ledwo się trzyma. Drzwi wpuszczają do wnętrza dopiero po ich uniesieniu, w głębi nienaruszone porządki chyba od zakończenia drugiej światowej. Wygięte, metalowe łóżko, poobijane tu i ówdzie, na podłodze butelki i plastykowe zbiorniki na kapiącą ze stropu wodę. Gdyby nie było tu zegara, rzekłbym, iż spadające krople służą do odmierzania czasu między wojnami, a Mistrz Wojennej Strategii wywoła ducha militarnego kataklizmu już za kilka dni, bowiem niedługo — prawdopodobnie w połowie przyszłego tygodnia — woda w zbiornikach osiągnie menisk wypukły i zacznie się przelewać. Na szczęście Mistrz posługuje się zegarem jak każdy przeciętniak i nie wypowie w tym dniu tragicznych dla całego świata słów: „Miarka się przebrała. Niechaj popłynie krew".

Nie znosi dziennikarzy i ich natrętnych pytań. Najchętniej zlikwidowałby ten zawód zupełnie, bowiem każdy, kto mu się poświęca, „staje się z czasem plotkarzem". Wpatruję się więc w niego cierpliwie i czekam, aż mi coś zechce powiedzieć. Jego broda jest siwiusieńka niczym nitki babiego lata. Na łysinie, pomimo mroku, wyraźnie widać głębokie bruzdy. Są tym głębsze, im intensywniej się zastanawia.

— Zwykli śmiertelnicy — mówi wreszcie — twierdzą, że wojna jest kataklizmem, przynosi same nieszczęścia, śmierć i zniszczenie. Są w błędzie. Wojna stanowi dobrodziejstwo dla ludzkości. Oczyszcza ją i hartuje. Wojna to burza, która strąca z zielonych drzew suche gałęzie. Właśnie głowię się nad tym, w jaki sposób ją przeprowadzić, żeby spełniła swój cel, nie rozsadzając planety. Bo w tej chwili, przy ładunku, jaki posiada ludzkość, bardzo łatwo to uczynić. Chciałbym też wojnie wytyczyć taką drogę, by Polska mogła z niej wyjść cało. Polacy — jak żaden naród — oczyścili się w poprzednich wojnach. Obecnie pragnę więc kataklizm skierować na kraje, które już od wieków nie zaznały go. Są rozleniwione i nie wiedzą, co to jest cierpienie, nędza, krzywda, wartość życia.

Ja jestem mały, ale zarazem i wielki w swojej małości. Niżej nie upadnę, bo i tak już jestem w bardzo głębokim dole. Ale mam powiązania z całym światem. Z czasów okupacji pozostała garstka moich przyjaciół, ale są oni ludźmi doświadczonymi i gotowymi na wszystko. Mogę na nich liczyć, bo ufają mi do ostatnich granic. Aby zrealizować moje wojenne plany, nie muszę mieszkać w Warszawie, Berlinie czy Waszyngtonie. Tu przychodzą mi do głowy najgenialniejsze pomysły. Moi przyjaciele odwiedzają mnie bardzo często. W ostatnich latach meldowali się u mnie kolejno żołnierze generała Maczka. Wchodzą w skład wojsk Rzeczypospolitej Podziemnej. Ostatnio promowałem trzech oficerów. Specjalnie przyjechali tu, do tej rudery. Ona napawa ich duchem polskości i męstwa, bo jest to moja rodowa chałupa. Obok wznoszę dom. Tfu! Miałem go dokończyć, ale celowo zwlekam, bo w tej chwili stanowi on symbol dzisiejszej Polski: jej budowę tak samo rozpoczęto i porzucono. Modliłem się do Jehowy przez 12 miesięcy, aby w całej Polsce był rok 1970. Nie sam zanosiłem te modły, lecz płaciłem świadkom i oni to robili w moim imieniu. Ja mam inny światopogląd. Moim bogiem jest państwo Polskie, a matką — jego naród. Sam żyję w spartańskiej surowości i tak pragnąłem wychować moje dzieci. Nie bardzo mi to wyszło, ale spełniły się za to inne cele, może nawet ważniejsze.

Myślałem o rządzie lewicowym w Polsce — mam rząd lewicowy. Wprawdzie niesprawny, ale z czasem się dotrze, douczy. Pragnąłem Polski uprzemysłowionej — mam Polskę na przemyśle stojącą. Bałaganu przy tym dużo, ale wierzę w mój naród. W ostatniej wojnie udowodnił mi, że na wiele go stać. W tamtym czasie zrodziła się do niego moja wielka romantyczna miłość. W tej chwili jestem gotów uczynić dla niego wszystko.

W roku 1948 zauważyłem, że kroi się śmierć Gomułce. Powiedziałem: trzeba go zamknąć i w ten sposób ocalić. Został zamknięty i uniknął śmierci. A był to ciężki okres dla polskich komunistów. Wtedy na przykład w Łodzi — obserwowałem życie w tym mieście osobiście — kłócili się Żydzi, a ze stanowisk wylatywali Polacy. Powiedziałem wówczas: trzeba tę sytuację odwrócić. W roku 1956 zauważyłem, że może zginąć polska droga do socjalizmu. Powiedziałem przełomowe zdanie: Gomułkę trzeba wyciągnąć z mamra. I co, wrócił człowiek do łask. Cały czas trzymałem rękę na pulsie, bo Polska jest moim oczkiem w głowie. Pod koniec lat sześćdziesiątych Gomułka zaczął kręcić. Raz na lewo zbaczał, raz na prawo. Tak nie będzie — powiedziałem tu, w tej ruderze, i w siedemdziesiątym roku poleciał, poleciał! Postawiłem na Gierka. Chciałem, by Polska została pokazana światu z jak najlepszej strony. Obiecał nam uporządkować pierwszą, wzbogacić ją, a następnie drugą wybudować. Nie upłynął miesiąc, a powiedziałem: Gierek przepadł. Mógłbym go wtedy usunąć, ale pomyślałem sobie: dajmy człowiekowi szansę, a jednocześnie zróbmy doświadczenie, do czego dojdzie naród, którym rządzi t a k i. Może źle zrobiłem, ale gdyby nie było Gierkowskich błędów, nie utworzyłaby się „Solidarność". Polacy potrafią wiele zrobić w ciągu sekundy, jeśli poczują zagrożenie. Uświadomiłem im to, ale jednocześnie zagwarantowałem wielkość w świecie. Bo oto Wojtyła został papieżem, a Miłosz — laureatem Nagrody Nobla.

Proponowali mi stanowisko wicepremiera, ministrów, ale ja nie dałem się skusić. I Bierutowi, i Cyrankiewiczowi powiedziałem: wolę zmieniać ministrów niż sam być zmieniany. Nawet dojdzie do tego, że będę mógł zmieniać was. I doszło.

Narodowi grozi wielkie niebezpieczeństwo. Starożytny Rzym wołał do cesarza: „Chleba i igrzysk". Dziś brzmią inne hasła: „Żądamy wolnych sobót, podwyżki płac", a nic nie mówi się o wzroście wydajności pracy. Boję się o przyszłość Polski, żeby nie zginęła, jak tamto wielkie mocarstwo. Tym bardziej że już dwa razy w historii przegadali ją i przekłócili. Wrogowie tylko na to czekają. Otrzymuję meldunki od moich przyjaciół z różnych państw, także tych najbliższych.

Mój ród nigdy nie pozwolił kalać swojego kraju. Nie od parady wywodzi się od rycerzy, najwierniejszych sług Piastów. Mój przodek trafił na dwór Bolesława Śmiałego i z miejsca stał się jego ulubionym rycerzem. A przyjaźń tę sobie zaskarbił uratowaniem króla. Przepowiednia głosiła, iż kto ujrzy jelenia z krzyżem między rogami, musi w danym roku umrzeć. Pewnego dnia Bolesław Śmiały udał się na łowy. Mój przodek zauważył, iż leci prosto na niego jeleń ze znakiem śmierci. Ubił zwierza. Otrzymał za to wioski Jankowice, Jankowo i inne dobra. Król nadał mu też herb z wizerunkiem upolowanego jelenia.

Czy jakie powstanie, czy jakiś ważny bunt, nie zabrakło w nim moich przodków. Ja też pragnę być wszędzie i o wszystkim w porę decydować. Zaniedbałem przez to moją ojcowską gospodarkę, rzuciłem ją na szalę walki dla ratowania całego kraju.

Teraz myślę, jak tu przeprowadzić tę trzecią wojnę światową. Jest to mój największy cel. Część doświadczeń mam już za sobą, czyli lata: 1956, 1968 i 1970. To nie było nic innego, jak tylko moje manewry.

Zechcę zrobić z Polaków najbardziej impulsywny naród w Europie i tak zadziałać, aby wojna kręciła się dookoła Polski, ale jej nie dotknęła. Taki kocioł wszystkich światowych zaburzeń stanowiły w pewnym okresie Bałkany, Szwajcaria, Francja, Szwecja.

Moi przyjaciele nakręcają spiralę wojennych nastrojów. Jeden z nich kusi planami podboju świata prezydenta Reagana, drugi — Schmidta, trzeci — panią Thatcher. Ciężko z nimi idzie. Ale wierzę, że z czasem i na tym odcinku odniosę zwycięstwo, bo o czym tylko myślałem, zawsze mi się spełniło, resztę dokonali wierni przyjaciele. II wojnę też było wywołać trudno, ale jak podpuściliśmy Hitlera, tak później nie mogliśmy go zatrzymać.

Skąd mam tę siłę? Chyba dzieje się tak za sprawą mojej babci, która zmarła kilkadziesiąt lat temu. Przy domu rosła piękna grusza. Stanowiła ona symbol naszego drzewa rodowego. Gdy byłem chłopcem, lubiłem zrywać z niej niedojrzały owoc. Kiedyś babcia zauważyła mnie i poczęła gonić z rózgą w ręku. Uciekłem na zasiek, a ona rozkazała, żebym podszedł do niej, bo chce mi rózgą wymierzyć karę. Moi koledzy mówili: nie bądź głupi, ale ja zlazłem z zasieka i podszedłem do babci. Dostałem od niej kilka razy, ale nagle zaczęła nade mną płakać i głaskać po głowie. „Mój dobry, kochany wnuczek" — mówiła. Od tego czasu byłem u niej pierwszym. Pamiętała o mnie także w dzień swojej śmierci. Prosiła o przywołanie do swojego łoża. Podszedłem. „Wnuczku mój — powiedziała — jaki ty już jesteś stary. Dzieci swoje masz takie ładne, bo kto za żonę weźmie kobietę z plemienia Jaćwingów, ta ma później piękne i liczne potomstwo. Ach, to ty jeszcze mieszkasz w naszej rodzinnej chałupie i śpisz w żelaznym rodzicielskim łóżku?" Wszyscy stali zdumieni. Ja nie mogłem z siebie wydusić słowa, a ona mówiła cichutko, coraz ciszej, aż do zaniku głosu. Po 80 latach przekonałem się, że przekazała mi wtedy treść prawie wszystkich kolein losu świata, ale i wróżbę samotności na starość.

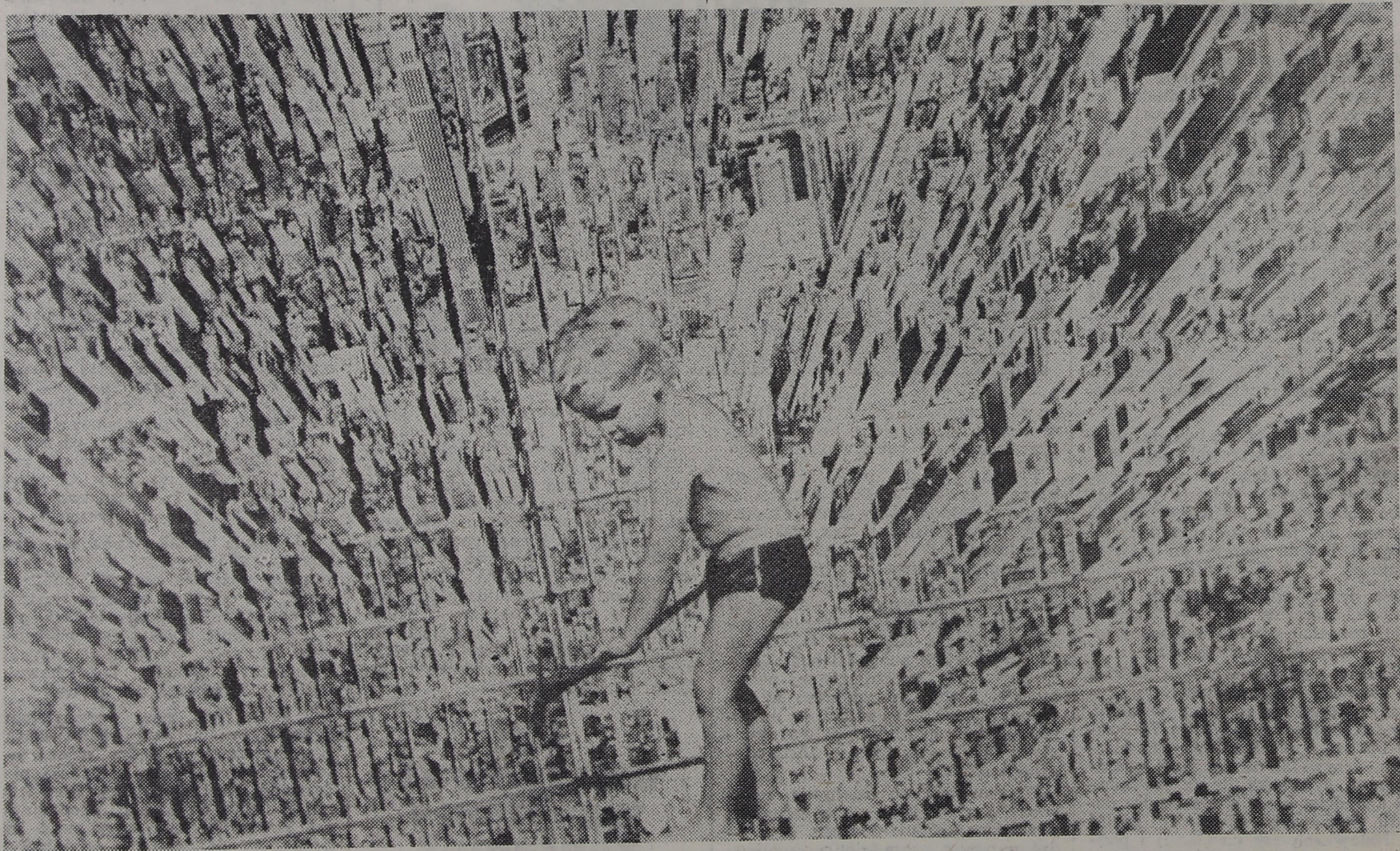

Co pewien czas w plastykowy zbiornik uderza nabrzmiała kropla wody. Skrobie mysz pod podłogą. O stare, drewniane ściany kołacze pożniwna, jesienna szaruga. Mistrz Wojennej Strategii zamyśla się. W izbie potężnieje mrok. Patrzę i nie dowierzam: po policzkach Mistrza spływają łzy. Ociera je rękawem postrzępionego kożucha i mówi nagle: — Muszę coś robić, żeby był silniejszym; choćby na tyle, aby móc ugasić wojnę, którą sam wywołam.

STANISŁAW ZIELIŃSKI
Fot. JÓZEF LIEBERSBACH

socjologiczne niuchanie wiatru

W „Kontaktach" z 26.VII.1981 r. ukazał się artykuł Włodzimierza Pawluczuka „Socjologiczne niuchanie wiatru". Przyjmując, że skierowany on jest do „przeciętnego" Czytelnika, zapytuję: dlaczego autor w sposób bardzo nieodpowiedzialny wprowadza ludzi w błąd, ukierunkowując ich punkt widzenia na socjologię jako naukę? Odniosłem wrażenie, że autorowi obca jest specyfika przeprowadzania badań empirycznych, szczególnie zaś w zakładach przemysłowych w okresie ostatniego 10-lecia. Wyraźnie zapomina o socjologach, którzy nie traktowali tej dyscypliny jako środka „praktycznej manipulacji", a starali się (mimo różnorodnych trudności) w badaniach empirycznych uwzględnić dorobek teoretyczny, zawierający w sobie podmiotowy aspekt ujmowania rzeczywistości. Autor krzywdzi tych, którzy opierając się o dorobek klasyków marksizmu oraz niektórych polskich socjologów (i filozofów) okresu międzywojennego, widzieli w badaniach przede wszystkim człowieka.

Stwierdzenie, że dorobek badań nad klasą robotniczą nie jest zadowalający, było i jest wypowiadane często przez socjologów zajmujących się tą problematyką. Akcentowanie przez autora myśli wielokrotnie wypowiadanych przez innych nie wnosi w zasadzie nic nowego. Natomiast fakt nikłego dorobku nie może stanowić podstawy do sformułowania bardzo nieprecyzyjnego sądu, że socjologia klasy robotniczej jako dyscyplina *„powinna okazać się mocno podejrzaną"*. Jego dociekania powinny iść przede wszystkim w kierunku szukania mechanizmów powodujących, że socjologia nie spełnia całkowicie swoich zadań, mimo istniejących w niej potencjalnych możliwości.

Niewątpliwie podstawowym błędem popełnianym przez socjologów zajmujących się badaniem klasy robotniczej było koncentrowanie się na problemach drugorzędnych z punktu widzenia rozwoju. Mam tu na myśli przede wszystkim wydajność pracy i bezpośrednio związane z nią problemy kwalifikacji, motywacji pracy, organizacji pracy itp. Niektórzy badacze zakładali a priori, że klasa robotnicza to przede wszystkim producenci, zapominając przy tym o jej twórczym charakterze. Ale czy za ten stan rzeczy winić należy tylko socjologię i socjologów? Właściwa odpowiedź na to pytanie będzie — jak sądzę — uświadomieniem sobie przez Czytelników, ile złożonych treści i nieoczekiwanych paradoksów kryje się pod modnym dziś pojęciem „Odnowa".

Dyskusja oraz uchwały IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR wniosły w kwestii spojrzenia na klasę robotniczą wiele optymizmu przez akceptację marksistowsko-leninowskiego punktu widzenia oraz nawiązanie do teoretycznych sugestii polskich myślicieli (inteligencji) okresu międzywojennego. Zasadniczym problemem w chwili obecnej jest podjęcie badań struktury i świadomości klasy robotniczej, które stanowiłyby istotną część badań z zakresu ekonomiki, struktury i świadomości społeczeństwa polskiego. Muszą one mieć na celu znalezienie odpowiedzi na pytanie, jak dalece jednolita jest ta klasa społeczna oraz całe nasze społeczeństwo. Będą one tym samym stanowiły podstawę do uchwycenia interesów i, co za tym idzie, zrozumienia genezy i charakteru działań poszczególnych grup społecznych. Niemożliwe jest bowiem stworzenie i jego realizacja bez uwzględnienia powyższych uwag. Ogromną rolę w tym zakresie spełniać mogą marksistowskie nauki społeczne, a przede wszystkim marksistowska socjologia.

W świetle tych skrótowych rozważań trudno jest zgodzić się z kategorycznym stwierdzeniem autora, że socjologia *„ze społecznego punktu widzenia jest [...] dyscypliną absolutnie nieprzydatną, a w wielu wypadkach nawet szkodliwą"*. Dziwny również wydaje się fakt, dlaczego autor podnosząc, bardzo słusznie skądinąd, znany profesjonalistom problem braku obiektywnej teorii rozwoju społeczeństwa socjalistycznego, nie zwrócił uwagi na istotne przyczyny istniejącego stanu rzeczy. Podstawą skonstruowania takiej teorii muszą być nie tylko właściwie ukierunkowane badania empiryczne, ale także (i przede wszystkim) dynamiczna realizacja postulatu integracji nauk. Rozważania autora o socjologii jako nauce w kontekście — niezrozumiałego dla mnie (w takim ujęciu?) — nawiązywania do innych dyscyplin naukowych i stosowania metod statystycznych są bardzo ważne. Pisząc o tych problemach zużyto już morze atramentu. Z tego więc punktu widzenia autor artykułu również nic ciekawego nie proponuje. Na pytanie od kiedy i dlaczego socjologia stała się nauką, odpowiedzieli już Marks i Lenin. Z polskich myślicieli problem socjologii jako nauki interesująco ujął Ludwik Krzywicki.

Ramy mojej wypowiedzi nie pozwalają na szczere omówienie tych tak ważnych problemów. Myślę jednak, że autorowi nie są one obce, chociażby ze względu na akcentowanie przez niego podmiotowego aspektu w socjologii. Pragnę podkreślić raz jeszcze, że sposób podejścia artykułu „Socjologiczne niuchanie wiatru" do problemów socjologii stwarza wiele niedomówień i tym samym nie przyczyni się zapewne do poważnego traktowania tej dyscypliny ze strony Czytelników. Ważna to sprawa chociażby z tego względu, że w każdej chwili mogą oni zetknąć się (ale już w innej roli) z socjologiem prowadzącym badania.

ZDZISŁAW KRASOWSKI

Pragnę czytelnie i kompetentnie poinformować Szanownego Autora, iż wbrew jego twierdzeniom ani Marks, ani Lenin nie odpowiadali na pytanie, od kiedy i dlaczego socjologia stała się nauką, co więcej — o socjologii jako nauce milczeli — o socjologii jako nauce milczeli głucho. Zgadzam się z Autorem, iż artykuł mój *„nie przyczyni się do poważnego traktowania tej dyscypliny przez Czytelników"*. I słusznie. Bo dyscyplina ta w jej dzisiejszym stanie na poważne traktowanie nie zasługuje. Autor sądzi, iż socjologia stanie się nauką poważną, jeśli zrealizuje proponowany przez niego program badań nad klasą robotniczą. Badania te, twierdzi Autor, *„będą stanowiły podstawę do uchwycenia interesów i, co za tym idzie, zrozumienia genezy i charakteru działań poszczególnych grup społecznych"*. To z kolei umożliwi stworzenie programu ekonomiczno-społecznego i jego realizację.

Co za naiwność! Leżała ona u podłoża błędu, który zadecydował o tym, iż socjologia stała się dyscypliną praktycznie mało przydatną, a ideologicznie — wielce podejrzaną. Ani Marks, ani Lenin nie prowadzili badań empirycznych nad interesem klasy robotniczej, nie przeliczali tego ni na komputerach, ni na liczydłach. Podobnie dziś jej obiektywny interes, przekażą te ustalenia władzy, a władza zadecyduje, jak ten — naukową metodą ustalony interes — realizować.

WŁODZIMIERZ PAWLUCZUK

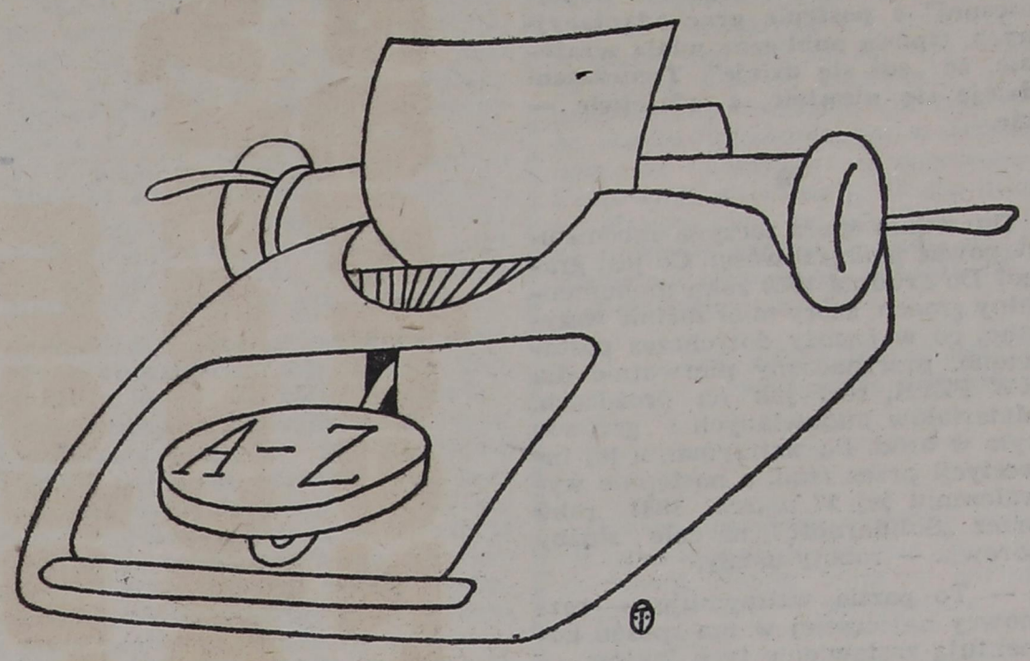

Rys. Wiesław Fuglewicz

władzy w kość

Jeżeli macie złość na władzę „Solidarności", to nie miejcie żalu do rolników Nie po to rolnicy tam poszli, żeby strajkować, tylko żeby dostać maszyny. Jeżeli redaktor Stanisław Zieliński pisze sam („Kontakty" nr 31/81), że rolnicy składają podania i one giną po 9 latach, to chyba ten sprzęt im się słusznie należy. Gdzie są te notatki, co redaktor od rolników zapisał? W reportażu mało jest prawdy, a Marian Gierałtowski składał podanie na ciągnik, już 4 lata minęły. Jak zwrócić się do naczelnika gminy, to odpowiada: „Ubiegajcie się, bo wam się słusznie należy". W tym roku rozmawialiśmy z nim, że ciągnik jest stary, i że siejemy przez 6 lat po 3 hektary buraków, a do pola mamy 3 kilometry błotnistej drogi. Pan naczelnik zdziwił się, że tyle siejemy. [...]

Takim przydziela maszyny, co już mają i biorą na handel. Czesław Gierałtowski z Żak rozrzutnik do obornika miał w domu. Dostał drugi, jak Stanisław Stypułkowski ze wsi Moczydły. Miał zgrabiarko-przetrząsarkę w domu, dostał drugą. Posiadamy 20 hektarów ziemi i mamy stary ciągnik, który liczy 19 lat. Widocznie my, młodzi rolnicy, musimy wrócić do sochy albo zrezygnować z uprawy ziemi.

Służba rolna wytypowała nasze gospodarstwo do opisu przez studentów z SGGW AR w Warszawie, to chyba źle nie gospodarzymy? A z gminy jeszcze nic nie dostaliśmy, choć człowiek przez tyle lat stara się, jak może. Nawet ciągnika ci nie dadzą.

Pan naczelnik ma godziny wyznaczone dla rolników, ale i na to nie ma czasu. Jak mu się podoba, to interesanta ze wsi przyjmie. Widocznie jest tak bardzo zmęczony swoim urzędowaniem. Służby rolnej już dawno we wsi nikt nie widział. Pojawia się, jak jest spis rolny albo spis PZU.

A jeśli chodzi o Mariana Gierałtowskiego ze wsi Średnica Maćkowięta, że był pijany, to trzeba go było wziąć na badanie krwi i wtedy oczerniać w żywe oczy. Proszę to odwołać. Pan redaktor napisał, że trzeźwo mówił i wiedział, o co chodzi. Marian Gierałtowski spraw po pijanemu nie załatwia. Chyba sam redaktor był pijany, jak to pisał, bo notatki, co rolnicy mu podali, wyrzucił, a w tym, co napisał, prawdy mało.

Nazwisko do wiadomości redakcji

*

Przykładami nadużyć przy rozdziale sprzętu sypie Pan jak z przysłowiowego rękawa. To dobrze, że mają one miejsce w Pańskim liście, choć źle, że zakończonym prośbą o nieujawnianie nazwiska. W ten sposób nie różni się Pan od tych wszystkich komentatorów, którzy mówią głośno o wielu sprawach, jeśli mogą się schować w anonimowość Mój przyjaciel określa takich ludzi zdaniem: „Chcą spaść z pieca i nie stłuc swego tyłka".

W gminie Szepietowo, podobnie jak w innych, rozdział sprzętu nadal budzi wiele wątpliwości, a pogłębiają je jeszcze — o tym jest mowa również w reportażu „Władzy w kość" — przypadki ginięcia podań lub całkowity brak na nie odpowiedzi naczelnika Urzędu Gminy Oczywiście, takie przejawy lekceważenia rolnika nie powinny mieć miejsca. Sądzę, że istniejący w Szepietowie silny Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Rolników Indywidualnych „Solidarność" nie dopuści do podobnych sytuacji.

W liście Pana odczytuję pretensję, iż notatki spisane według słów rolników wyrzuciłem, zlekceważyłem je. W reportażu wszystkich oczekujących na maszyny wymienić nie sposób. Podałem przykłady najbardziej drastyczne. Szkoda, że sprawy te nie znalazły należnego miejsca na posiedzeniu komisji Gminnej Rady Narodowej i NSZZ RI „Solidarność", dokonujących rozdziału sprzętu. Wówczas na pytanie naczelnika: „To powiedzcie, panowie, komu ten ciągnik odebrać, by przydzielić go, na przykład, Stanisławowi Perkowskiemu" — sala odpowiedziała milczeniem Może gdyby Pan zasiadał w jednej z komisji, powiedziałby: „Proszę odebrać go Stanisławowi Stypułkowskiemu z Moczydeł i przydzielić mnie, bo czekam już cztery lata".

Dobrze by się stało, gdyby Pański głos otworzył na łamach naszego pisma dyskusję rolników na temat sprawiedliwych metod i kryteriów rozdziału sprzętu. A może już ktoś w województwie łomżyńskim posiada taki pomysł i zechce go spopularyzować?

Ma Pan zastrzeżenia do użytego przeze mnie sformułowania „Marian Gierałtowski, zapity ponad normę, z trudem trzyma się na nogach" Nie podstawiałem temu panu baloników, bo nie należy to do zawodu dziennikarza Wycofuję przeto powyższe zdanie i proponuję inne: „Widziałem, że Marian Gierałtowski ze wsi Średnica Maćkowięta był bardzo zmęczony i poruszał się chwiejnym krokiem Może ze zdenerwowania, może z niecierpliwości" Zamiany tej dokonuję wyłącznie dla Pańskiej satysfakcji, choć kłóci się ona z opiniami współuczestników szepietowskiego strajku: Na takie gorąco nie musiał dużo wypić Pięćdziesiątka na pusty żołądek wystarczy"

STANISŁAW ZIELIŃSKI

polemiki

penetracje

przeciąganie kolczastym drutem

Łomżyniacy nagabywani przez reportera o Zespół Przychodni Specjalistycznych (były obiekt KW PZPR) byli święcie przekonani, że już wkrótce otworzy on swoje podwoje i przyjmie pierwszych pacjentów. Tej chwili tęsknie wyczekuje personel zrujnowanej przychodni przy ul. Armii Czerwonej, wierząc, że nastąpi to w końcu tego roku.

Wiarę wzbudziły ukazujące się co jakiś czas notatki w „Gazecie Współczesnej" o postępie prac adaptacyjnych. Opinia publiczna miała wrażenie, że „coś się dzieje". Tymczasem dzieje się niewiele, a właściwie — nic.

*

Uprzednia wiara zaczyna obecnie ustępować podejrzliwości. Co jest grane? Do grudnia 1980 roku monumentalny gmach, który miał zaćmić wszystko, co w Łomży dotychczas postawiono, przeznaczony pierwotnie dla KW PZPR, rósł jak na drożdżach. Materiałów budowlanych i gotówki było w bród. Po wstrzymaniu tej inwestycji przez rząd, a następnie wywalczeniu jej 27 marca 1981 roku przez „Solidarność", na cele służby zdrowia — roboty ustały.

— To partia wstrzymuje — rozmówcy najczęściej w ten sposób komentują zestawienie tych faktów. — Bierze na przeczekanie.

Podejrzliwość wzmaga identyczna, a nawet gorsza sytuacja tego typu obiektów w całym kraju: z wielkim trudem wyrwane władzom — stoją

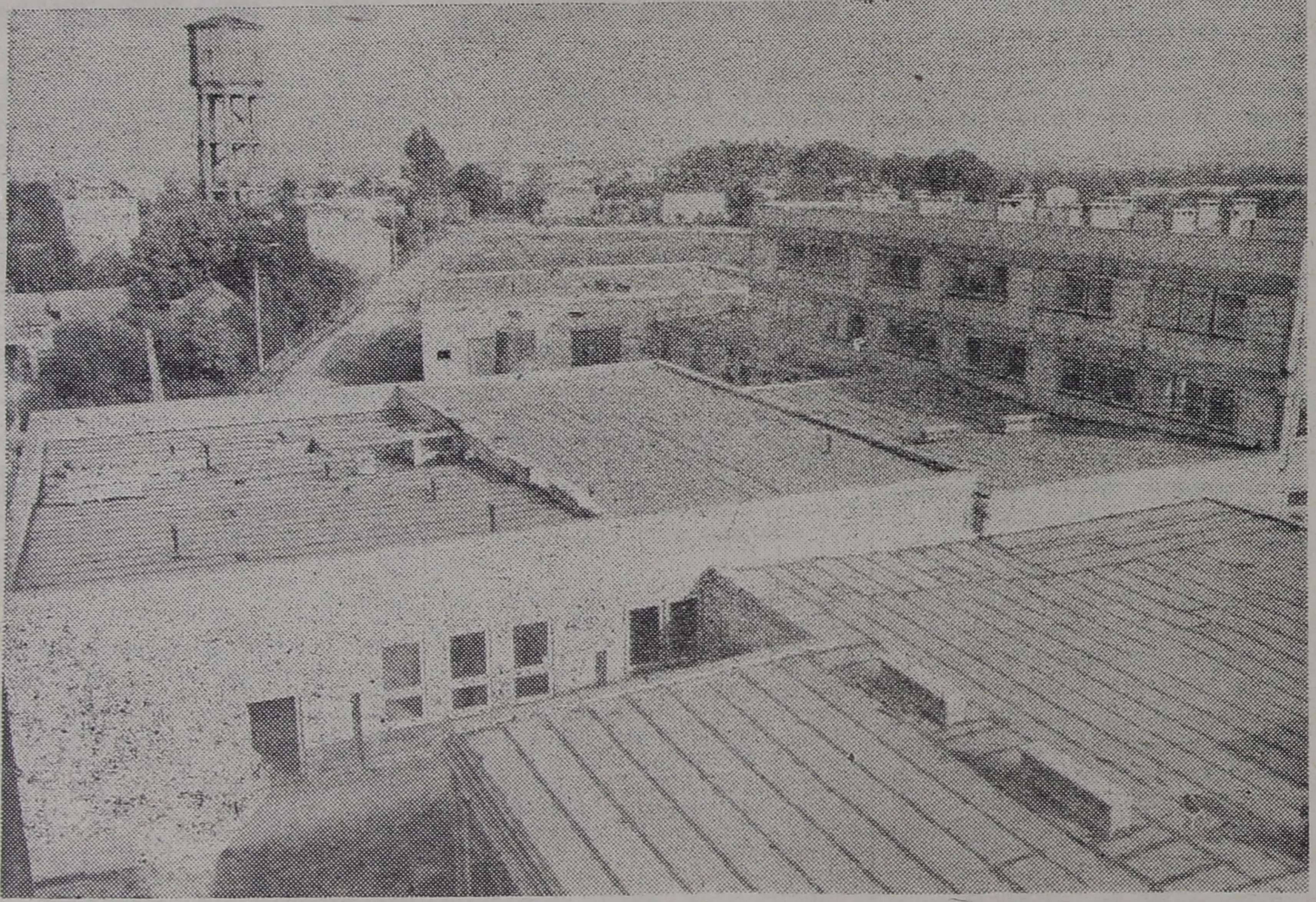

zamknięte na cztery spusty, nawiedzane przez kulawe psy.

— Wierzę, że opinia społeczna może mieć takie odczucia — przyznał I sekretarz KW PZPR w Łomży, Włodzimierz Michaluk. — Byliśmy zajęci sprawami wewnętrznymi. Ten temat nie może być nam obojętny. Osobiście się zainteresuję, w czym nasza pomoc będzie niezbędna.

*

W kwietniu tego roku sytuacja nie wyglądała jeszcze tak minorowo. Gdy 2 kwietnia wojewoda oficjalnie przekazał obiekt Wydziałowi Zdrowia i Opieki Społecznej, w „Solidarności" zapanowała radość. Wnet jednak przyszło otrzeźwienie. Wykonawca, piski „Budopol", dawno zwinął manatki, rozpuścił podwykonawców i opuścił plac budowy. Ówczesny przewodniczący TKZ „Solidarność", Bogdan Baranowski, wpadł na pomysł stworzenia komitetu, który by naciskał na szybką realizację prac adaptacyjnych i organizował niezbędną pomoc. Rozesłano wici po wszystkich organizacjach politycznych, instytucjach, stowarzyszeniach i związkach.

Dnia 14 kwietnia 1981 roku doszło do powołania SKAB-u (Społeczny Komitet Adaptacji Budynków). Listę członków-założycieli podpisały 43 osoby. Wyłoniono ścisłe prezydium, z Wiesławem Sielskim jako przewodniczącym. Biuletyn informacyjny „Solidarności" zamieścił apel do społeczeństwa o pomoc. „Pieniądze na budowę, inwestora i fachowego wykonawcę zapewni państwo." Dzisiaj czyta się to jak pobożne życzenie. Ale jeszcze nie kraczmy, bo oto inicjatywa SKAB-u wnet wychodzi poza rogatki Łomży i zyskuje życzliwość społeczeństwa. Jak z rogu obfitości posypały się deklaracje. Najbogatszą ofertę zgłosili rzemieślnicy: dobrowolne opodatkowanie na łączną sumę 1300 tysięcy złotych i — z chwilą otrzymania zleceń od wykonawcy — podjęcie prac wykończeniowych. Był to czas płomiennych przemówień i gorącego zapału. Gdy przyszło przekuć słowa w czynów stal — zapał ostygł. Z siedmiu zakładów tylko dwa wywiązały się z danej obietnicy: POM i PPS w Łomży.

SKAB-owcy przystąpili do pukania w drzwi wykonawcy. Póki nie było projektu adaptacji, wykonawca nie kwapił się do ich otwarcia.

Na szczęście projektant — białostocki „Miastoprojekt" — w rekordowym tempie dostarczył dokumentację: 15 maja był już gotowy szkic, 15 czerwca projekt, a 2 lipca — kosztorys na pierwszy etap budowy. Na drugi etap będzie do odebrania 31 marca 1982 roku. Pierwszy etap obejmuje adaptację byłego budynku WOKI na pogotowie ratunkowe, ośrodek szkolenia kadr medycznych i hotel robotniczy oraz garaży na kolumnę sanitarną. Wobec symbolicznej pomocy społecznej i zakładów pracy przewidziany termin wykonania adaptacji byłego gmachu WOKI i garaży do końca br. stanął pod dużym znakiem zapytania. Prace fachowe jest w stanie wykonać rzemiosło na zasadzie podwykonawstwa. Na to potrzebne są zlecenia od wykonawcy, lecz ten nie kwapi się z ich wysłaniem.

Pukanie zaczyna być natarczywe. Drzwi uchylają się, ale po to, by z hukiem się zatrzasnąć. „Budopol" staje się raptem bardzo przepisowy. Brak kompletnej dokumentacji projektowo-kosztorysowej jest jego żelaznym argumentem. Gdy budynek miał innego właściciela, wykonawca korzystał z klauzuli najwyższego uprzywilejowania, mógł nie wiedzieć o istnieniu przepisów. Wiadomo — obiekt prestiżowy. Po zmianie przeznaczenia zaczyna obowiązywać „proces inwestycyjny", „finansowanie", „przerób" itp.

— Jakby kolczastym drutem kogoś przeciągał — pielęgniarka Teresa Steckiewicz, zasiadająca w prezydium SKAB-u, w ten dosadny sposób kwituje walkę o odzyskanie, a teraz adaptację obiektu. — Dostarczyliśmy „Budopolowi" wszystkie wymagane załączniki, a dyrektor zaczął wynajdywać tysiąc i jeden haczyków. Po pięciu godzinach wykrzyczeliśmy zlecenia dla rzemiosła.

By zrozumieć chimery wykonawcy, trzeba by poświęcić tej firmie osobny artykuł. Będąc najsłabszym zakładem w Zjednoczeniu — został wyodrębniony do prowadzenia budów specjalnych: komend i komitetów. W tym jest celujący. W budowie obiektów dla służby zdrowia jest dużo mniej sprawny, a tu nagle zwala się dyrekcji na głowę SKAB!

„Budopol", po wstrzymaniu budowy, przewidział dwa miliony złotych przerobu na prace zabezpieczające obiekt przed zniszczeniem, wypuścił z garści podwykonawców i uznał swą rolę za zakończoną. Trudno winić za to wykonawcę. Zwolniony potencjał przesunął na inne budowy, a prowadzi ich sześć.

Bądźmy wyrozumiali i za czas do 2 lipca 1981 roku udzielmy „Budopolowi" dyspensy. Jednak po tej dacie trudno nie pisać cierpko o wykonawcy. Co prawda zarówno inwestorzy, jak i SKAB-owcy, prosili reportera, by nie uraził dyrekcji „Budopolu", która stała się bardzo wrażliwa po niepochlebnych artykułach o partaninie w grajewskim szpitalu, i jeszcze gotowa śmiertelnie się obrazić na Łomżę. A Łomża nie ma wyboru. Czy chce, czy nie — piski „Budopol" jest monopolistą na tego typu usługi. Owijam wobec tego długopis w watę i wracam do rzeczy.

Dnia 2 lipca wykonawca miał już w ręku dokumentację projektowo-kosztorysową, dodatkowe osiem milionów złotych dofinansowania, otwarte konto w banku i rzemieślników gotowych na przyjęcie zleceń.

I co? I nic. Minął miesiąc. 28 lipca 1981 roku w Urzędzie Wojewódzkim w Łomży doszło do spotkania „na szczycie". SKAB sprowadził do wspólnego stołu dyrektorów: „Budopolu", Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej — inwestor główny, Wojewódzkiej Dyrekcji Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich — inwestor zastępczy, i kilku łomżyńskich przedsiębiorstw. Naradę zgodził się poprowadzić wicewojewoda Stanisław Ciupa, kilkakrotnie zaznaczając, że czyni to przez grzeczność. Pozostali aktorzy adaptacyjnej kołomyi również sprawiali wrażenie zajmujących się tą sprawą wyłącznie grzecznościowo. Po chaotycznej dyskusji ustalono, że do 10 sierpnia łomżyńskie firmy zgłoszą wykonawcy konkretny zakres robót, które podejmą się wykonać. Dzień 10 sierpnia minął. Odwiedziłem kierownika budowy, Wacława Korzeba. Owszem, zgłaszano się, ale by poinformować o niemożności uczestnictwa w tym przedsięwzięciu. Tylko WSS „Społem" wydelegowało czterech murarzy.

Wcześniej, w dniu 6 sierpnia 1981 roku, SKAB zwołał kolejną naradę. Na 80 wysłanych zaproszeń — z odzewem spotkało się 14. Przytaczam przebieg spotkania.

Wiesław Sielski: — Frekwencję mamy podobną, jak na posiedzeniach WRN-u. Proszę państwa, prócz sprytciarstwa tzw. oficjalnych czynników nic się nie dzieje. Ich zainteresowanie obiektem jest żadne bądź znikome. Może pani z prezydium powie coś bardziej optymistycznego.

Pani (nazwisko znane redakcji): — Liczymy na pomoc społeczeństwa. Wymienię trzy sposoby jej udzielania. Pierwszy — w formie niefachowych prac. Do tej pory pracowało około stu ludzi, wszyscy z „Solidarności". Niech każdy z państwa zmobilizuje po kilka osób ze swego środowiska. Drugi sposób — wpłaty na konto, choć na pieniądzach nam najmniej zależy. Ważniejsze są ręce do pracy. W tej chwili mamy na koncie 42 tysiące złotych. Trzeci sposób to oddelegowanie na pewien czas fachowych brygad z zakładów pracy.

Wacław Korzeb (gwałtownie): — Co z tego, że 90 osób pracowało. Liczba się nie liczy, a efekty. Tynki w garażach wykonane w 30 procentach, a w gazecie pisze się o dużym postępie robót. Ludzie się śmieją. Cztery nadproża kuje się trzy tygodnie. Murarze z WSS-u robią po trzy metry sześcienne tynku dziennie. To są kpiny. Nikt z wykonawcą nie zawarł umowy. Plac nie został oddany przez inwestora.

Wiesław Sielski: — Niech pan nie zapomina, że te 90 osób pracowało nieodpłatnie. Gdy budowano KW, wszystkie formalności też nie były dopięte.

Kazimierz Ruda (Cech Rzemiosł Różnych Łomża): — Ja tu widzę dwa aspekty. Jeden organizacyjny: na budowie KW kierownik Korzeb też nie miał fachowców, a budowa szła. Niech pan Korzeb nie kwęka. Czy pan walczył o ludzi, o materiały, czy monitował dyrekcję w tych sprawach? Drugi aspekt jest polityczny. Jeżeli ktoś psuje robotę, nie potrafi pokierować, to niech odejdzie.

Wacław Korzeb: — Pan nie rozumie spraw inwestycyjnych.

Kazimierz Ruda: — Ile z tych dwu milionów wykonano?

Wacław Korzeb: — 50 procent na półrocze.

Wacław Sielski (do Korzeba): — Dlaczego pan się utożsamia z dyrekcją? „Budopol" nie jest przecież prywatnym przedsiębiorstwem. Jak wygląda sprawa z podwykonawcami?

Wacław Korzeb: — W każdej chwili możemy z nimi wznowić umowy, ale nie mamy materiałów.

Kazimierz Ruda: — Nie ma materiałów, bo nie zamawiano wcześniej.

Wacław Korzeb: — Mieliśmy wstrzymane finansowanie.

Wiesław Sielski: — Ta budowa ma jeszcze na bieżący rok pięć milionów złotych. Jak się tylko coś udaje załatwić, wykonawca znajduje nowe problemy.

Antoni Chojnowski (prezes Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej, oddział w Łomży): — Inne oddziały Towarzystwa włączą się do deptania po piętach, zwłaszcza w Warszawie. Będą napływać datki.

Józef Łojewski (związki branżowe): — Jeżeli zgłosicie się do przedsiębiorstw, spotkacie się z dużym aplauzem. Wasz apel nie zostanie bez odzewu.

Józef Kulik (SKAB): — Jako komitet społeczny wzięliśmy na siebie całość obowiązków. Nie tędy droga. Zanikła nasza funkcja główna — kontrolna. Ja nie sądzę, że budowa jest blokowana decyzjami politycznymi. Musimy zmienić styl działania. Nawiązać konkretne kontakty z zakładami. Pozawierać umowy z rzemieślnikami.

Wacław Korzeb: — Ja harmonogram sporządziłem. Dla każdego przedsiębiorstwa określiłem ilość i charakter prac. Wojewoda ma je wyegzekwować drogą administracyjną.

Pani: — Odwrotnie, najpierw ludzie muszą się zgłosić, a potem harmonogram.

Poseł Kazimierz Morawski: — Deklaruję gotowość działania, do interpelacji poselskiej włącznie.

*

I co? I nadal nic. Każde spotkanie ma podobny przebieg. Po oratorskich wystąpieniach wszystko wraca do tzw. normy. W Zarządzie „Solidarności" niektórzy działacze zaczynają podejrzewać z kolei SKAB o przewrotną grę.

— To koń trojański partii — usłyszałem od jednego z nich. — Niby robią szum, a w konsekwencji na szumie poprzestają.

Nie jestem skłonny upatrywać diabła tam, gdzie go nie ma, ale istotnie od chwili powstania SKAB-u stał się on wygodnym parawanem dla władz administracyjnych, inwestorów i wykonawcy. Wicewojewoda Stanisław Ciupa orzekł, że jest „nie do udowodnienia, czy SKAB wyręcza administrację. Jakby SKAB-u nie było, administracja robiłaby to samo. Ich pomoc jest cenna, tylko za dużo tam huraganizmu społecznego". Opinię tę podzielają także inwestorzy. Dyrektor Irena Kotowska z WDRMiOW oraz dyrektor Jan Popkowski z Wydziału Zdrowia chwalą SKAB za operatywność, a ganią za zbytni pośpiech. „Proces inwestycyjny" — magiczny termin, który ma tłumaczyć letni stosunek do adaptacji wszystkich zainteresowanych — służy za żelazne usprawiedliwienie ich ślimaczych poczynań. Gdy zapytałem pacjentów w przychodni przy Armii Czerwonej, czy rzeczywiście trzeba się spieszyć z tą adaptacją, omal nie zrzucili mnie ze schodów.

SKAB stał się alibi dla bezpośrednio zainteresowanych. Mimowolnie. Stało się tak, gdyż wypaczono jego ideę. Wciśnięto go w stary, dobrze sprawdzony i... skompromitowany schemat: społeczeństwo to pociągnie. Skazano tym samym budowę na przewlekłe rokowania, rozgrzebanie i zagadanie. Należy wrócić do pierwotnej koncepcji, gdyż inaczej społeczeństwu długo jeszcze przyjdzie czekać na przychodnie.

SKAB nie może wyręczać we wszystkim inwestorów i wykonawcy. Tam pracują ludzie, do których obowiązków należy zajmowanie się tymi sprawami; biorą za to pieniądze. SKAB powinien określić się jako komitet dobrych usług — pośredniczyć w rokowaniach oraz wywierać presję na ociągających się urzędników. Punkt ciężkości należy przenieść ze społeczeństwa na instytucje, mocą prawa powołane do zajmowania się adaptacją budynku dla — bądź co bądź — specjalistycznych przychodni.

Społeczeństwo jest zbyt wymęczone. Każe mu się stać w kolejkach, nosić butle z gazem na plecach, tynkować mieszkania...

I jeszcze jedno. Podczas narady w Urzędzie Wojewódzkim 28 lipca jeden z dyskutantów zauważył: — Dlaczego to jest inicjatywa „Solidarności", a czynniki oficjalne się nie włączają, nawet przeszkadzają?

Sądzę, że najlepszym probierzem stopnia odnowienia się władz w naszym województwie byłoby zaangażowanie się w sprawy tej budowy. Właśnie tej budowy.

ANEKS

Dnia 14 sierpnia br., jak poinformował mnie dyr. Wojciech Sarnowski z WDRMiOW, „Budopol" dostarczył aneks do umowy. Zobowiązuje się w nim do zakończenia I etapu adaptacji z dniem 31 sierpnia 1982 roku (pierwotnie — koniec 1981 roku). Termin może zostać skrócony o trzy miesiące, jeżeli inwestor zapewni wykonawstwo robót wykończeniowych. Tym samym inwestor musiałby wejść w rolę generalnego wykonawcy. Rzemiosło będzie w stanie rozpocząć prace w zespole w okresie jesienno-zimowym. — Wówczas to my ściągniemy własnych fachowców — konkluduje Wacław Korzeb.

Koło toczy się dalej.

ADAM JERZY SOCHA
Fot. GABOR LÖRINCZY

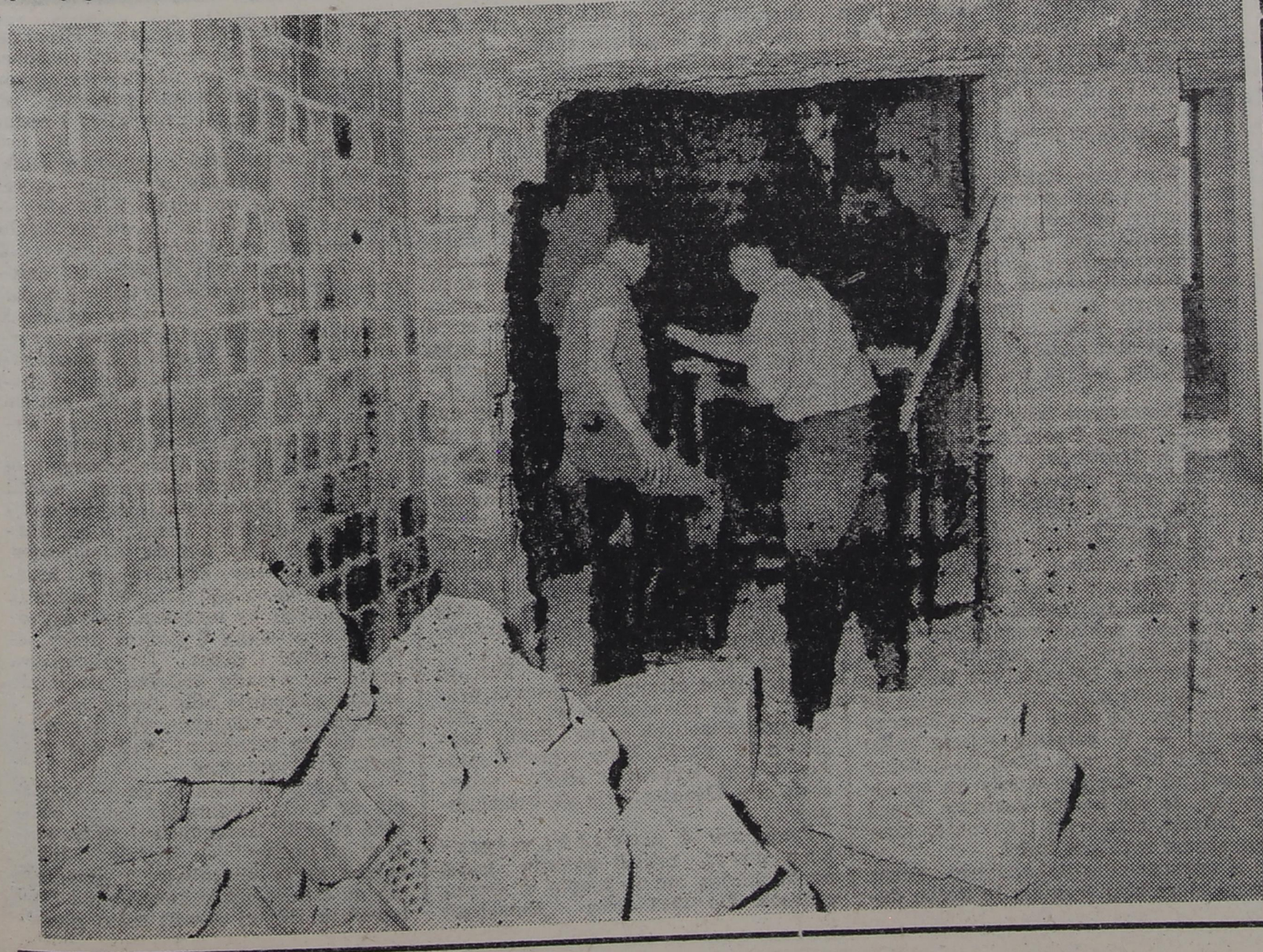

kontakty kontaktów

Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Kolnie uprzejmie informuje, iż sprawdzono wyliczenie wypłaty za mleko dostarczone przez obywatela Jana Dąbrowskiego w czerwcu 1981 r. Potwierdza się pomyłkę w wypłacie jedynie za 33 litry mleka na sumę 344 zł. Powyższą kwotę przesłaliśmy imiennie do realizacji do Banku Spółdzielczego w Jedwabnem. Za pomyłkę przepraszamy. Pracownikowi Punktu Skupu mleka w Makowskich zwróciliśmy uwagę na potrzebę bardzo dokładnego sporządzania zbiorówek i sprawdzania wyliczonych należności.

Inż. KRZYSZTOF ROMAN
wiceprezes Zarządu

✲

Bardzo uprzejmie dziękuję Redakcji za interwencję w sprawie mojego mleka. Dzięki Wam za rzekomo zagubione litry otrzymałem już wyrównanie.

JAN DĄBROWSKI
Bartki

✲

W nawiązaniu do wyjaśnienia Prokuratora Rejonowego, mgr Feliksa Kalinowskiego, zamieszczonego w 33 numerze „Kontaktów" — Oddział Wojewódzki PZU w Łomży wyjaśnia, że informacja w sprawie wyłudzenia pieniędzy z PZU przez rolników wsi Białosuknie nie jest prawdziwa.

Rolnikom wsi Białosuknie udzielono pomocy finansowej za szkody, nie objęte odpowiedzialnością PZU, powstałe w czerwcu i lipcu 1980 r. na skutek podtopienia gruntów w wyniku nadmiernych opadów atmosferycznych. Zgodnie z wytycznymi Ministra Finansów wypłat naliczonej pomocy finansowej dokonywały Banki Spółdzielcze z rachunku wydatków budżetu centralnego Państwa — nie zaś ze środków PZU.

Mgr JAN LENARD
dyrektor Oddziału Wojewódzkiego PZU

✲

Słyszałem i czytałem o różnych rodzajach spekulacji i spekulantach, ale nigdy nie spotkałem się z tym, aby spekulantem takim była Rejonowa Komenda Straży Pożarnych w Łomży. W dniu 16 sierpnia bieżącego roku zorganizowała ona zabawę taneczną w Gminnym Ośrodku Kultury w Piątnicy. Przy tej okazji zawodowi funkcjonariusze Rejonowej Komendy Straży Pożarnych zajmowali się sprzedażą piwa po cenie kilkakrotnie zawyżonej. Butelka piwa kosztowała z kaucją 22 zł, w sklepie to samo piwo, również z kaucją, kosztuje 7,50 zł. Sprzedano około 5500 sztuk butelek o pojemności 0,33 l. Czysty zysk ze sprzedaży wyniósł 79 750 zł. Zaznaczam jednocześnie, że nie jest to jedyny wypadek w dziejach Straży Pożarnych. Przy opisanym fakcie byli obecni funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej z posterunku w Piątnicy i z Łomży.

BOGDAN POTOCKI
Piątnica

✲

W związku z informacją („Kontakty" nr 32), że w dniu 5.08.81 r. Bank Spółdzielczy w Wysokiem Mazowieckiem brał udział w strajku ostrzegawczym, wyjaśniamy, że takiego strajku w naszym banku nie było.

JAN ROSZKOWSKI
dyrektor Banku Spółdzielczego

Od redakcji: informację o uczestnictwie zakładów i instytucji (w tym BS w Wysokiem Mazowieckiem) uzyskaliśmy w Urzędzie Wojewódzkim w Łomży.

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

mniej na rynku — przelicza po babsku Wacława Galińska. Wojewoda Zientara tymi 16 procentami kole w oczy krytykujących władze województwa za fatalne zaopatrzenie rynku. Przyczyny takiego stanu rzeczy znają w zakładzie wszyscy, począwszy od dyrektora, a skończywszy na prządce. Nim je poznamy, zapraszam Czytelnika na przechadzkę po „getcie" — tak ochrzczono zakład w mieście.

Dział przygotowawczy, w którym „homogenizuje" się surowiec, by uzyskać jego jednolitą barwę i konsystencję, wita mnie łagodnym szmerem maszyn. To dopiero preludium piekielnej uwertury.

W oddziale zgrzeblarek szum wzrasta, by przejść w przędzalni w gwałtowny hałas. W rozgrzanym powietrzu wirują białe niteczki. W gardle zaczyna drapać. Mam wrażenie jakbym oddychał rozrzedzoną watą. W beczkowe pojemniki zesnuwają się, kołysząc jak tańczące węże, bieluchne pasma bawełny. Wystarczyło, że przystanąłem przy jednej z pań, by po chwili zostać otoczonym przez rój kobiet. Kartka błyskawicznie pokrywa się udrękami dnia codziennego.

— Dzisiaj stałam od godziny ósmej do dwunastej po mięso — mówi Danuta Gwiazdowska (25 lat pracy, dojeżdża z Łomży). — Nie dostałam, na kanapkę nic nie położyłam.

— Po 18 latach pracy dorobiłam się tylko żylaków — Janina Miduszewska pokazuje nogi pokryte gruzłowatymi sznurami żył. Inne kobiety idą jej śladem. — Ludzie na pół głodni robią.

— Wczoraj jabłkami żyłam, bo nawet bułek nie można w zakładzie kupić — dodaje Kalina Gosk.

Przerywam ten potok żalów, by spytać o nie przepracowane dni. Kobiety wpierw wymieniają dwucyfrową liczbę przepracowanych lat w zakładzie, a następnie z dumą obwieszczają, że nie mają ani jednego dnia opuszczonego. Tylko jedna z pań wyznaje, że bierze zwolnienie raz w miesiącu.

— Jestem chora na wątrobę — mówi. — Byle co człowiek je i przez to jest do niczego.

Gdy zbliżam się do tkalni, narasta pomruk, który raptownie, po przekroczeniu drzwi, zmienia się we wściekły, jednostajny grzmot. Ściany drżą. Krzyczę do ucha młodej pracownicy, jak w tym białym piekle można wytrzymać. Uśmiecha się. Wychodzę po 10 minutach ze spuchniętą głową i spocony. Ufff!

— Do nas przychodzi młodziutka, zdrowa jak rydz, dziewczyna — powie w rozmowie ze mną kierownik działu osobowego Tadeusza Ściana, ale po dziesięciu latach pracy już jest kimś innym.

*

Wacława Galińska na nędzę produkcji patrzy przez cyfry i procenty. Cały zakład jest przez nią precyzyjnie rozpracowany. W rubryce „przyczyny" owych 16 procent kierowniczka umieściła na pierwszym miejscu skrócenie czasu pracy; dalej idzie eliminacja nadróbek (sławetne nadgodziny); spadek wydajności maszyn spowodowany pogorszeniem jakości surowca — brakuje bawełny I, II i III rodzaju oraz elany; zmniejszenie wykorzystania czasu pracy — ponad dwukrotny wzrost godzin nie przepracowanych, nieusprawiedliwionych w przędzalni, i trzykrotny — w tkalni.

Puszczamy wodze fantazji i liczymy, ile można by wyprodukować metrów tkanin więcej, gdyby był komplet załogi (3500 pracowników) i dostatek dobrego surowca. W okienku kalkulatora pojawia się „feralna" cyfra 13 z sześcioma zerami. Zakład zatrudnia około 3200 ludzi, z tego 700 dojeżdża do pracy z promienia 30 kilometrów od Zambrowa.

— Liczyliśmy, że przez dwa kwartały wychowamy sobie kadrę — komentuje pani Galińska — a teraz ptaszki wyfruwają i to z produkcji podstawowej.

Proszę Waldemara Cichowskiego, kierownika zmiany w tkalni, o wskazanie mi „ptaszków", które najczęściej wyfruwają z pracy. Jako pierwsza do pokoju, w którym się zainstalowałem, przyszła młoda pannica, od 9 miesięcy w zakładzie. Mieszka na stancji wynajmowanej przez pracodawcę. Pracę opuszczała z powodu częstych przeziębień. — Ale już teraz będę pracowała dobrze — zapewnia mnie gorąco, sądząc, że jestwem w zmowie z personelem. Kolejna dziewczyna ma 19 lat. Pracuje drugi rok. — Do pracy idę z przymusem — wyznaje — ciągle latać i latać, przez osiem godzin w ruchu. Jak przyjdzie się do domu, to na nic nie ma się ochoty. Myślę kiedyś zmienić zawód. Jako ostatnia pojawia się również młódka, wcale ładna. Pracuje rok. Swoje nieobecności usprawiedliwia chorą mamą.

— Mieszkam na stancji z dwiema koleżankami. Zimą marzniemy, wody ciepłej nie ma, ubrania trzymamy w tapczanach, bo gospodarz nie dał szafy.

Kierownik potwierdza moje przypuszczenie. Najbardziej płynna jest młoda kadra i najbardziej niezdyscyplinowana.

— Jak jest wolna sobota, już w piątek nie przychodzą do pracy. Pytam później, dlaczego pani nie było? Wzruszy ramionami, jakby nic wielkiego się nie stało, a człowieka krew zalewa.

— Na tle branży i tak stoimy nieźle — pociesza się dyrektor Czesław Zagdański. — U nas absencja chorobowa wynosi 7 procent, a w Łodzi — 12. Przyczyny nie upatruję w warunkach pracy, te się polepszyły po modernizacji. Kobiety nie mają po prostu sił. W pracy myślą, jak dzieciom zabezpieczyć strawę, a po pracy stoją w kolejce. Ludzie nie wytrzymują bez papierosów. Każde napięcie w kraju to rozluźnienie dyscypliny. Nadzór wówczas jakby wyczekuje i nie pilnuje ludzi. Mamy duży niedobór pracowników: 100 osób możemy wchłonąć od razu, ale główną barierą są sprawy mieszkaniowe. Stancje mamy przepełnione.

Dyrektor zapewnia mnie, że nie opuszcza rąk i ma zamiar podjąć jakieś działania. Jakie — będzie wiedział po naradzie poświęconej tym problemom. Właśnie są w trakcie przygotowań do niej.

— Historycznie rzecz biorąc — Czesław Zagdański żegna mnie refleksją natury ogólnej — wydajność zawsze spada w kryzysowych sytuacjach.

W Komitecie Zakładowym PZPR również są zaniepokojeni. By zbadać przyczyny, opracowano raport o stanie technicznym zakładu, i wyszło częściowo szydło z worka. Stan techniczno-organizacyjny okazał się generalnie zły. Rozczarowała, trwająca cztery lata, modernizacja zakładu. Dyrekcja obiecywała cudeńka, wszystko miało być za pociśnięciem guzika.

— Tymczasem żeby żaluzje otworzyć — mówi I sekretarz, Tadeusz Kowal — trzeba się na górę wspinać. Oddział przewijarek po modernizacji nie spełnia oczekiwań. Włókno rwie się często, maszyny stoją. Sprawy organizacyjne nie grają, 14 września mamy plenum, wówczas rozliczymy dyrekcję z raportu.

Nieco inne spojrzenie ma wiceprzewodniczący zakładowej „Solidarności", Władysław Ręczelewski, bardziej przez ludzkie bolączki niż technikę. — Ludzie są zmęczeni, w kolejce po mięso stoi się dwa dni — tłumaczy załogę. — W ostatnią sobotę mało na ulicę nie wyszli. Stali do godziny dziesiątej i dopiero wtedy im oznajmiono, że nie będzie dostawy. Praca w hałasie, zapyleniu i wysokiej temperaturze rozkłada ludzi.

Z opracowania dokonanego przez inspektora bhp wynika, że liczba decybeli jest powyżej dopuszczalnej normy. W tkalni nawet o 11 jednostek. Zambrowskie Zakłady przerabiają najgorsze gatunki bawełny. Są jedynym tego typu zakładem w kraju i ponoć w Europie. Wpływa to na przekroczenie normy zawartości pyłów w powietrzu. Temperatura dochodzi do 35 stopni Celsjusza. Pracuje się w warunkach mikroklimatu tropikalnego.

— Praca nie jest lekka, wbrew zaszeregowaniu do przemysłu lekkiego — stwierdza sarkastycznie wiceprzewodniczący. — Niewielu dochodzi do emerytury. Ludzie mają skierowanie do lekkiej pracy, a u nas nie ma oddziału pracy chronionej. Takim oddziałem dla naszego zakładu jest „Mera Błonie". Tkaczki jak już u nas nie dają rady, idą do nich. Teraz załoga zadecydowała, że za pracę w wolne soboty stworzy się u nas taki wydział — szwalnię.

Brak dyscypliny „Solidarność" kładzie na karb braków w zatrudnieniu. Wyrzuci się kogoś za wódkę, a po miesiącu przyjmuje się z powrotem, bo maszyny stoją. Choćby dzisiaj: wpłynęło podanie pracownika, któremu po raz pierwszy zdarzyło się być na cyku. Skoro notorycznych pijaków przyjmuje się po ich zwolnieniu, to dlaczego on ma być wyrzucony za jedną wpadkę, po tylu latach dobrej pracy? Młodzi ściągani są z Ostrołęckiego i Suwalskiego, większość po paru miesiącach odchodzi. III zmiany umierają śmiercią naturalną z braku obsady. Brakuje również doświadczonego personelu technicznego. Najmniejsza awaria skomplikowanych maszyn i produkcja na wiele godzin zostaje unieruchomiona. No i oczywiście... nieśmiertelne części zamienne.

— Z piachu bicza nie ukręcisz — podsumowuje Ręczelewski i wylicza, co trzeba zmienić, by ludzie nie opuszczali pracy, a tym samym — wzrosła produkcja.

Poprawa warunków pracy: stworzyć prawidłową klimatyzację, zlikwidować dziury w posadzce i zreperować nieszczęsny dach. Dzieje przeciekającego dachu przypominają dymiący piecyk z wiersza Konstantego I. Gałczyńskiego. Biadolono, że piecyk nie daje ciepła, a wystarczyło przeczyścić rurę. Od lat domagano się od dyrekcji remontu dachu. W porze deszczu na ludzi ciurka woda; na gwałt zawiesza się wówczas pod sufitem plandeki, sypie w kałuże trociny... Japończyk, który instalował w zakładzie maszyny swojej firmy, omal zawału serca nie dostał, gdy zobaczył, że woda na nie kapie. Trzeba było Sierpnia i „Solidarności", żeby dyrekcja zdecydowała się w końcu na uszczelnienie dziurawego dachu.

Lepszy surowiec: Ten, co teraz zakład otrzymuje, zmusza pracownice do zdwojonego wysiłku, mimo zmniejszonych norm i liczby krosien z 15 na 12. Żeby wyrobić normę, trzeba wypruć z siebie wszystkie siły. Osnowa rwie się bezustannie.

Poprawić warunki mieszkaniowe: zakład posiada hotel na 64 miejsc, ale to kropla w morzu potrzeb. Do 1968 roku „Bawełna" miała 300-pokojowy hotel, ale ze względu na duże koszty utrzymania budynku oddano go prezydium MRN. Teraz mieści się tam Urząd Miasta i Gminy. Z powodzeniem można by odzyskać 60 pokojów zajmowanych przez WZIR i ZUS — agendy Urzędu Wojewódzkiego. Nie uwierzę, że nie pomieści się tych biurek i pracowników do nich przypisanych, w gmachu przy Szosie Zambrowskiej. 60 pokojów rozwiązałoby Zakładom definitywnie problem zatrudnienia ludzi do kompletu. Jest to rozwiązanie tylko na teraz, gdyż tak czy inaczej trzeba pracownikom, którzy po 5 lat gnieżdżą się na stancjach, dać normalne mieszkania.

Usprawnić handel. Bez tego ani rusz. Gdy mowa jest o mięsie, przewodniczący KZ-u „Solidarności" Marek Rutkowski wali po każdej nazwie miesiąca pięścią w biurko.

— W styczniu — bach! — mówiłem, żeby rozprowadzać mięso w zakładzie; w lutym — bach! — mówiłem, w marcu — bach! — mówiłem... i cisza.

*

Przed Sierpniem załoga patrzyła krzywo na przychodnię zakładową, po Sierpniu — dyrekcja. Gabinet lekarski jest najczulszym barometrem, który ukazuje nie przespane noce, niedożywienie i napięcie nerwowe ludzi z „bawełnianego getta". Przed Sierpniem dyrekcja narzucała kierownikowi przychodni, dr Lidii Kozłowskiej, limit zwolnień. Innym kanałem szły zalecenia Ministerstwa Zdrowia, które również zmuszały lekarza do łamania przysięgi Hipokratesa. Dlatego obecny boom chorobowy wydaje się czymś nienaturalnym. Dr Lidia Kozłowska pokazała mi zrobione przez siebie analizy i zestawienia.

— W roku 1980 największe skoki absencji wypadły w maju: dzieci wówczas idą do komunii świętej — wtajemniczył mnie kierownik działu osobowego. — W lipcu i sierpniu żniwa, 70 procent załogi to chłoporobotnicy; październik i listopad — wykopki. W tym roku wskaźnik wyraźnie wzrósł, chociaż nie przeskoczył jeszcze rekordu z października ubiegłego roku. Najczęściej chorują ludzie między 41 a 50 rokiem życia, w tej grupie wiekowej wydaje się najdłuższe zwolnienia.

Choroby układu oddechowego są najczęstszymi schorzeniami wśród pacjentów. Na drugim miejscu znajdują się upadki i urazy, a na trzecim — choroby układu nerwowego. Pył bawełniany, zawierający krzemionkę, wywołuje nieżyt oskrzeli. 24-kilometrowy maraton, jaki prządka robi w ciągu 8 godzin pracy, osłabia serce i płuca. Trzyzmianowa praca to wrzody żołądka. Działanie hałasu powoduje bóle głowy, znerwicowanie i niedoczynność tarczycy. Zdarza się lekarzowi kierować pacjenta do Choroszczy.

— Załoga zestarzała się — wyjaśnia dr Lidia Kozłowska taką obfitość chorób trapiących pracowników „Bawełny". — Ludzie biorą roczne renty chorobowe i przedtem idą na 6-miesięczne zwolnienia. Stąd ten skok. W tej chwili mam pierw-

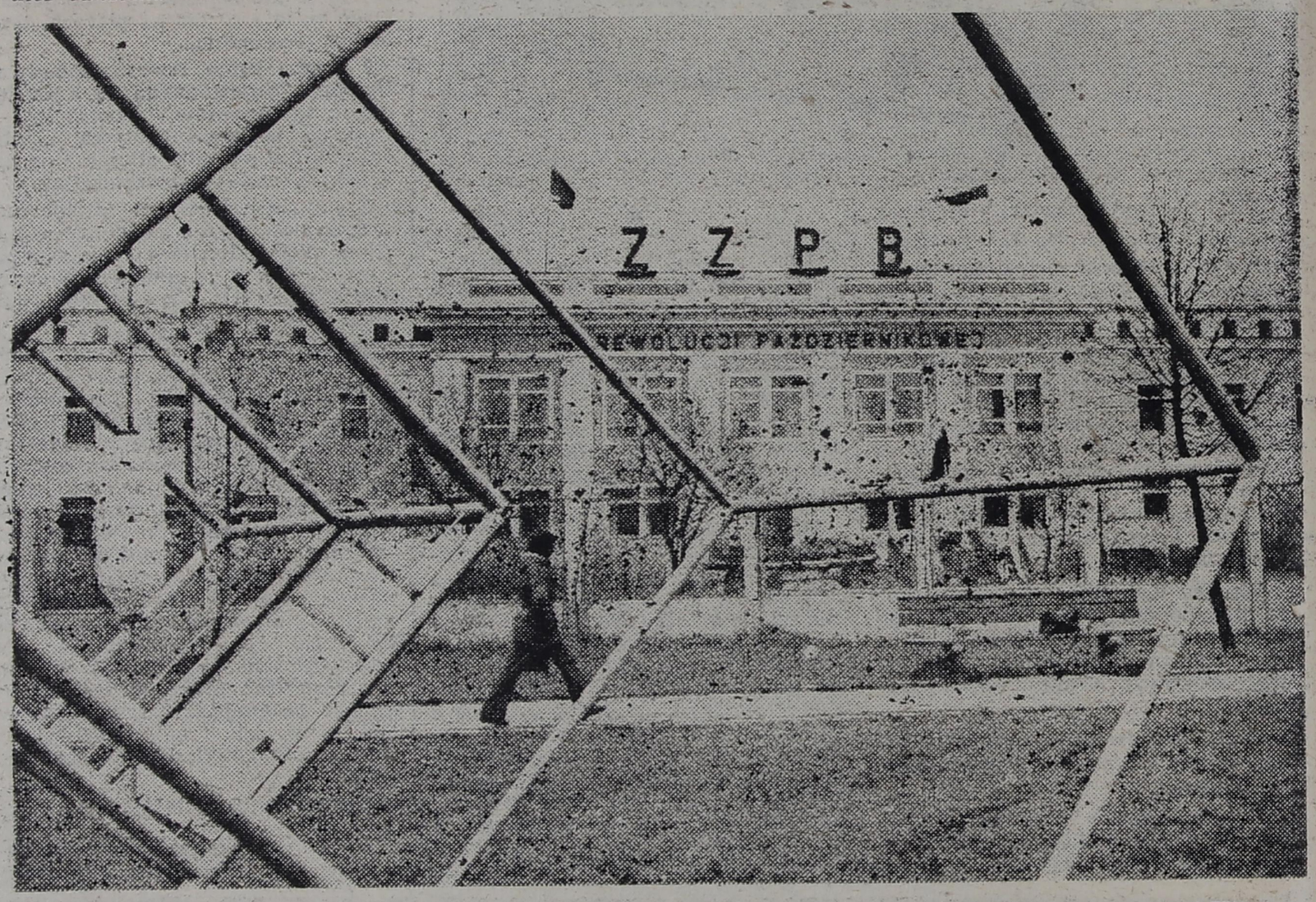

sze przypadki gruźlicy u ludzi młodych. Ci, którzy pracują z nakazu prokuratorskiego, samookaleczają się, nie chcą pracować. Czy można zmniejszyć zagrożenie? Hałasu nie zlikwidujemy, zapylenia też nie zmniejszymy...

Do tej pory kierownik przychodni jest nachodzony przez orzecznika z ZOZ-u i naciskany ze strony dyrekcji zakładu w sprawie zwolnień. Starym sposobem próbuje się ratować produkcję.

✸

Gąszcz cyfr, wskaźników i tabel nie powie tyle reporterowi, co człowiek z krwi i kości. Toteż odwiedziłem w domu tkaczkę Janinę Godlewską; 17 lat pracy, dwoje dzieci, 14-letni syn i 13-letnia córka. Mieszkanie w bloku, standardowe meble, jakie spotyka się w domu prawie każdej robotniczej rodziny.

— Lubię ten zawód, ale co roku mi ciężej. W tej chwili jest naprawdę ciężko. Żeby zrobić rano zakupy, kilka sklepów trzeba obskoczyć. Tu tylko mleko, tam bułki. W lodówce pusto. Raz zbeczałam się z nerwów. W pracy sekundy nie postoisz: przejdę wzdłuż krosien, oglądam się za siebie — wszystko pozrywane. Najgorzej z nogami. Do dwunastej godziny to jeszcze, jeszcze, ale od dwunastej człowiek jak pijany chodzi. Mam 36 lat, ile to jeszcze trzeba pracować do emerytury... Kiedyś zwolnień lekarz nie dawał, tylko lekarstwa, i do pracy. I tak przeziębiłam grypę. Prześwietlili — płuca. Dzięki temu dostałam tutaj mieszkanie. Dobrze że „Solidarność" powstała i wzięła w obronę robotnika. Dzięki temu odjęli nam trzy krosna. Kiedyś też robiliśmy na dwunastu, ale jak przyszła w 1976 podwyżka płac, dali więcej pieniędzy i dołożyli krosien. Kto się buntował, to straszyli Koreą, najcięższym oddziałem w zakładzie. Przez te krosna cała sina byłam, boki poobijałam. Tyle lat pracowaliśmy i nikt nie wiedział, że nam się „słuchowe" należy — dodatek za hałas. Dopiero „Solidarność" spowodowała, że płacą, zapytam sąsiadki, ile.

Po chwili wracają obie panie. Sąsiadka Elżbieta Prusińska pracuje jako prządka 10 lat; dwoje dzieci.

— Jeden złoty na godzinę dają — mówi pani Janina.

Do rozmowy włącza się pani Elżbieta. Opowiada, jak wygląda w Zambrowie kupno mięsa.

— O piątej rano trzeba się zapisać, dostaje się numerek i cały dzień się stoi. Kto odejdzie, skreśla się go z listy. Ostatni raz sprawdza się listę o 22.30. W nocy są dyżury i ponowne sprawdzanie listy o czwartej rano. Stoi się do dziewiątej i albo dojdzie do człowieka, albo nie. Jak nie, stoi się następny dzień. Całymi dniami w kolejkach, głodne, nie dospane, to jak na produkcji nie spać.

— Nikt dla przyjemności do roboty nie idzie — mówi pani Janina — tylko żeby zarobić.

— Każdy z nas przychodzi robić, a nie opalać się w kurzu przy 30 stopniach — dopowiada pani Elżbieta. — Zaczynamy się wstydzić, że pracujemy na „Bawełnie". Jak rano wychodzimy z pracy, to ci sprzed sklepów mówią: „O, idzie szarańcza". Lubię swoją pracę, ale żeby dobrze ją zorganizować. Ciągle przestoje — po dwie, trzy godziny Surowiec jest, tylko źle zagospodarowany. Jestem mężem zaufania, wzięłam kobiety, wykrzyczałam się i jest poprawa. Tylu kierowników mamy, więcej jak pracowników, ale roboty ustawić nie potrafią, tylko gonią.

Pani Janina: — Człowiek nerwowy się zrobił, na dzieciach wyładowuje złość...

Pani Elżbieta: — Mnie też wszystko przeszkadza. W domu, wrrr, wrrr do wszystkich.

Pani Janina: — O naszych kłopotach wiedzą dobrze wojewodowie. Mieliśmy spotkanie pod koniec lipca. I co z tego? Tego nie załatwi, tamtego nie załatwi. Jeden z naszych wstał i pyta: „To po co pan przyjechał?"

Pani Elżbieta: — Wystarczy, że wejdę do pracy, a głowa mi pęka; połknę parę tabletek od bólu głowy i otumaniam ból.

Pani Janina: — Jak ma głowa nie pękać, gdy nie ma w czym dzieci do szkoły posłać, czym oprać...

Pani Elżbieta: — W domu mam cztery mydełka, to tylko jak bardzo ręce zabrudzę, używam.

Pani Janina: — Mnie by wszy zjadło, gdyby mama nie odstąpiła swego proszku.

Pani Elżbieta: — Wiesz, że dzisiaj bułki kupiłam!

Pani Janina: — To dzisiaj u ciebie święto.

✸

Weźcie się do roboty! — łają zewsząd. — Manifestacje nie zapełnią pustych półek! — Janinie Godlewskiej, Elżbiecie Prusińskiej i wielu, wielu innym „czupiradełkom" z „bawełnianego getta" nie trzeba trąbić tego nad uchem. Dają z siebie tyle, ile mogą. Statystycy dokładnie wyliczyli w metrach i procentach spadek produkcji: 16 procent. Dużo. Żeby go zmniejszyć, najwyższa pora zmierzyć także dyrekcji zakładu, administracji miasta i gminy Zambrów oraz administracji Urzędu Wojewódzkiego — procent ich spadku wydajności pracy. Jeżeli komuś strajkuje umysł, niech nie próbuje kryć tego faktu za plecami rzekomego lenistwa zambrowskich tkaczek i prządek.

✸

OD REDAKCJI: Z bieli zambrowskiej „Bawełny" reporter wyniósł obraz ciemny i smutny. Nie rozweselą go krasnoludki. Rozjaśnienie może przynieść tylko mocny namysł i działanie — odpowiedź na wezwanie: „Nie dajmy się biedzie".

FOT. GABOR LORINCZY

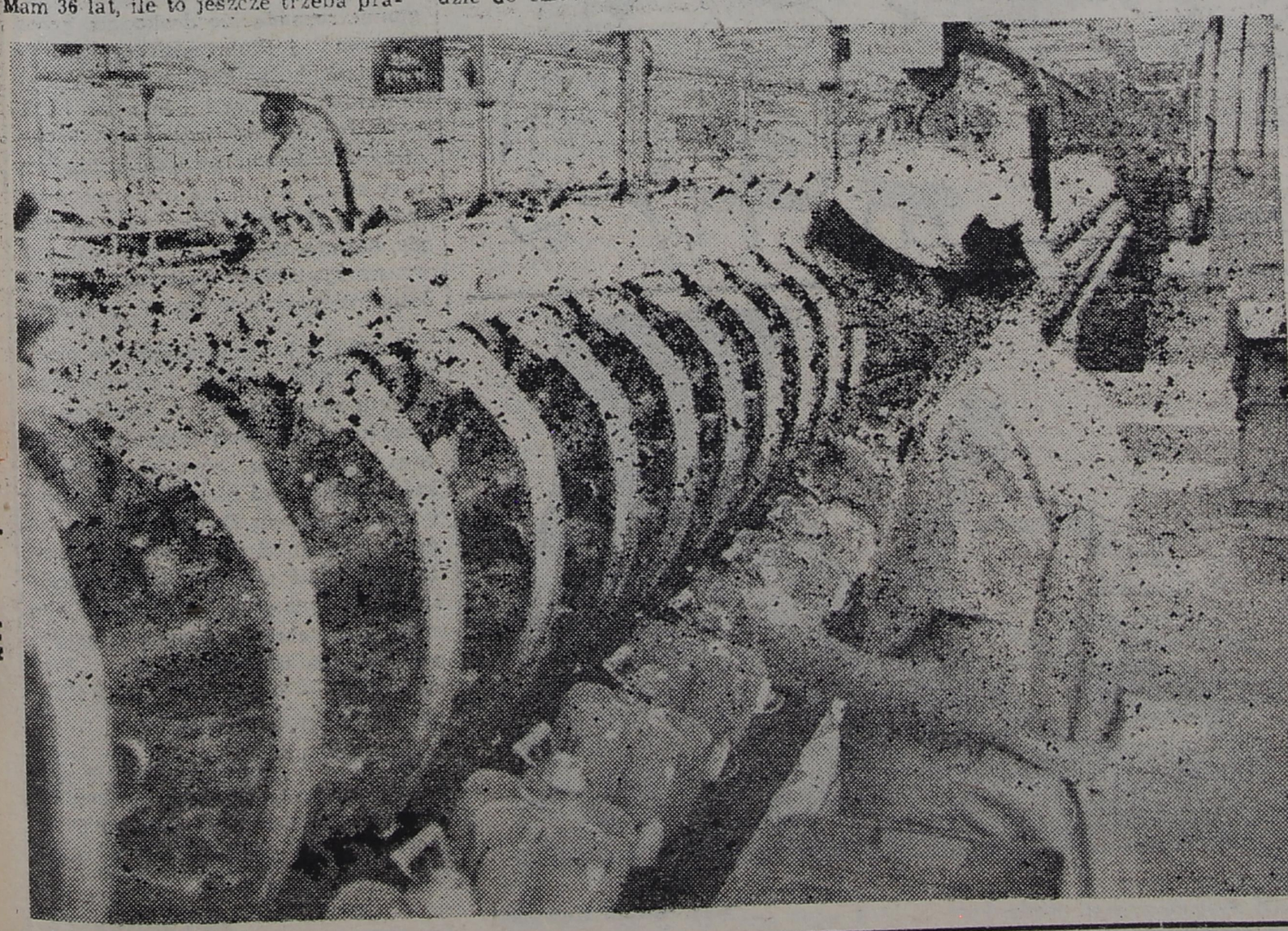

spięcia

— Niech pan ugotuje na nich zupę — rzekł prezes geesu w Nowogrodzie do rolnika z Leopoldowa, który chciał zdać w geesie stare akumulatory, by w zamian dostać nowe. Wdzięczny za radę interesant — za naszym pośrednictwem — zaprasza prezesa na degustację. W razie potrzeby może na miejscu przysolić, a nawet przypieprzyć.

☆

Niewątpliwym dorobkiem lokalnego Święta Kultury Staropolskiej jest przywracanie w Łomży pradawnych znaczeń słów. Utrwala się np. staropolski sens „bielizny" (używane w domu wyroby, wyłącznie z białej tkaniny), dowodem czego łomżyńskie pralnie, odmawiające czyszczenia bielizny kolorowej.

☆

Rolnikowi ze wsi Uścianek Wielki (gmina Zaręby Kościelne) społeczna komisja przydzieliła w tym roku brony, pług i kopaczkę elewatorową, chociaż rolnik nie ma ciągnika. Werdykt zapadł w tajemnicy przed żoną szczęściarza — wiceprzewodniczącą tamtejszej „Solidarności" wiejskiej. Poza małżeńskim i zawodowym — widzimy w tej sprawie kilka innych związków.

☆

Amerykanizację życia wprowadziły Zaręby Kościelne. Eksperymentalnie 5% rodzin mieszka w rozwalających się domach, co daje nieodparty urok zachodnich slumsów. Inicjatywę władz poparli mieszkańcy ruder, ustanawiając w czynie społecznym, rasizm, to jest nienawiść do kilku czarnych... charakterów.

☆

W Ciechanowcu lotniczy ekspres do RFN kosztuje 17 złotych, w Łomży — lotniczy zwykły tamże — 18 złotych. Wolny rynek czy świadoma robota odwetowców niemieckich?

☆

Odbiorcy towaru z węglarki nr 50427107 na stacji PKP w Zambrowie dewastowali ją w dniu 31 lipca br., czemu przyglądał się bez oznak zdziwienia personel kolejowy. Tyle my. Kolej na kolej.

☆

Zakład Gospodarki Mieszkaniowej w Łomży za przyczyną grupy remontowej zmienił się w zakłady: kto czego nie wykona. Są pierwsze efekty. Remont mieszkania nr 10 przy ul. Sienkiewicza 31 w Łomży odbywa się bez zakłóceń w ruchu ciągłym jednostą nie opóźnionym. Cieszy nas zainteresowanie remontowców odnową, gdyby tak jeszcze — mieszkań.

☆

Uwaga! Wszystkich potencjalnych sprzedawców piwa w zambrowskiej pijalni przy ul. Wodnej ostrzegamy przed utratą wzroku. Ofiarą nieszczęścia padł obecny personel. Jak wykazuje praktyka, ekspedientki sklepu nie są w stanie odczytywać tabliczek w jego wnętrzu, zakazujących palenia tytoniu, picia poza sklepem, sprzedaży piwa nietrzeźwym i małoletom. Naukowcy podejrzewają, że przyczyną ślepoty może być podziemny splot złotej żyły z żyłką do handlu.

☆

Niniejszym na podstawie autopsji zmieniamy nazwę łomżyńskiego obiektu kulturalnego „Muszla koncertowa" na „klozetowa".

dzień dzisiejszy

POŚLIZGI

głos

zza miedzy

Idziesz ulicą Wschodnią w Ostrołęce, ułożoną z betonowych płyt już za czasu bloków spod dźwigu, i w poczerniałym, opuszczonym kiosku „Ruchu" spostrzegasz samotny egzemplarz pisma sprzed paru miesięcy, którego nikt już nie chciał kupić. Jakie to pismo, pytasz? „Barwy", miesięcznik społeczno-kulturalny, jeszcze za czasów niestołecznego województwa warszawskiego przypisany Mazowszu i części Podlasia. Powiada Kazimierz Koźniewski w „Polityce", że to miesięcznik regionalny i przemawiałby za tym skład rady redakcyjnej „Barw" już z lat nowowojewódzkich: I wiceprezydent miasta stołecznego Warszawy, wicewojewoda ostrołęcki, wicewojewoda płocki, wicewojewoda siedlecki, wicewojewoda ciechanowski, wiceprzewodniczący Mazowieckiego Towarzystwa Kultury, dyrektor Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki w Warszawie. Ba, ale co innego czytać spod firmy wicewojewody „Ocenę realizacji programu rozwoju [...]. Materiały na plenum [...]. Do użytku wewnętrznego", a co innego miesięcznik społeczno-kulturalny. A ponadto zgodzić się na krój regionalizmu wedle miary „Barw", to znaczy przystać na filozofię ich wodza naczelnego, Henryka Gaworskiego, która przydaje „Barwom" filtr. Jest to zwyczajnie pismo pewnej orientacji społecznej i politycznej, a nie regionu; regionalność została do niego tylko dopisana. Egzemplarze „Barw" spoczywają więc spokojnie na ladach prasowych kiosków „Ruchu" w Ostrołęce, bo jakoś nikt ich nie chce rozchwytywać, a tutejsze tematy regionalne częściej można znaleźć chociażby w „Warmii i Mazurach", miesięczniku olsztyńskim. W zasięgu „Barw" Płock ma „Tygodnik Płocki", Siedlce i Ciechanów przynajmniej chude dodatki tygodniowe do dziennika „Trybuna Mazowiecka", tylko Ostrołęka jest pozbawiona jakiegokolwiek pisemka regionalnego, nie mówiąc już o tygodniku.

Koźniewski powiada w artykule „Tygodniki trzeciej siatki", że cztery z nowowojewódzkich stolic nie mają swego odrębnego tygodnika: Toruń i Włocławek, gdyż rolę tę dla nich od lat spełnia tygodnik „Kujawy", Radom, posiadający własną gazetę codzienną, no i Ostrołęka, w której ponoć trwają jeszcze organizacyjne przygotowania do uruchomienia takiego pisma. Wiadomość ta pociesza ostrołęczanina, tylko że nikt z moich znajomych tematem zainteresowanych nic nie wie o tych „organizacyjnych przygotowaniach". A może toczą się one w jakiejś konspiracji? Co prawda w uchwale plenum Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Ostrołęce z 29 maja zeszłego roku znalazł się następujący wniosek: *„— rozważenie możliwości i podjęcie starań o powołanie partyjnego tygodnika ostrołęckiego"*; czy nie był to jednak ze strony ówczesnych władców, decydujących o sprawie, sposób na opędzenie się od natrętów? I tak jedynie ostrołęckie pozostało puste na mapie prasy regionalnej, mimo że są tu i dziennikarze, współpracujący z różnymi redakcjami, i środowisko literackie, mimo że w Ostrołęce ukazywało się już w latach pięćdziesiątych pismo „Echo Kurpiowskie". Wydaje mi się, że władcy nowowojewódzcy, którzy zablokowali swoją inercją inicjatywę wydawania tygodnika ostrołęckiego, niechętni byli po prostu funkcjonowaniu opinii publicznej, a jej ośrodkiem regionalnym stałaby się przecież nowa redakcja. Czy nie ta niechęć — z kolei — stała się przyczyną ich klęski w miesiącach odnowy partyjnej? Po ich odejściu jednak Ostrołęka nadal nie ma pisma.

Czytelników w Ostrołęckiem zdobyły już „Kontakty" i zyskują coraz to nowych — przecież tradycje kulturalne wiążą Ostrołękę i jej okolice z Ziemią Łomżyńską. Może więc warto te związki przypomnieć i na łamach naszego pisma?

STANISŁAW KOTWICA

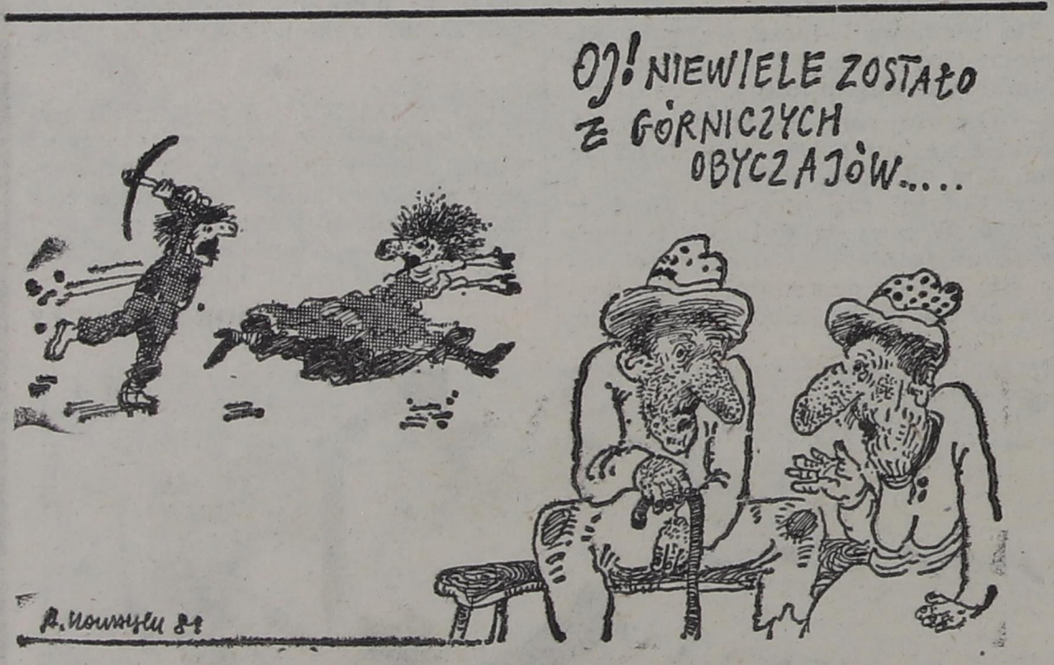

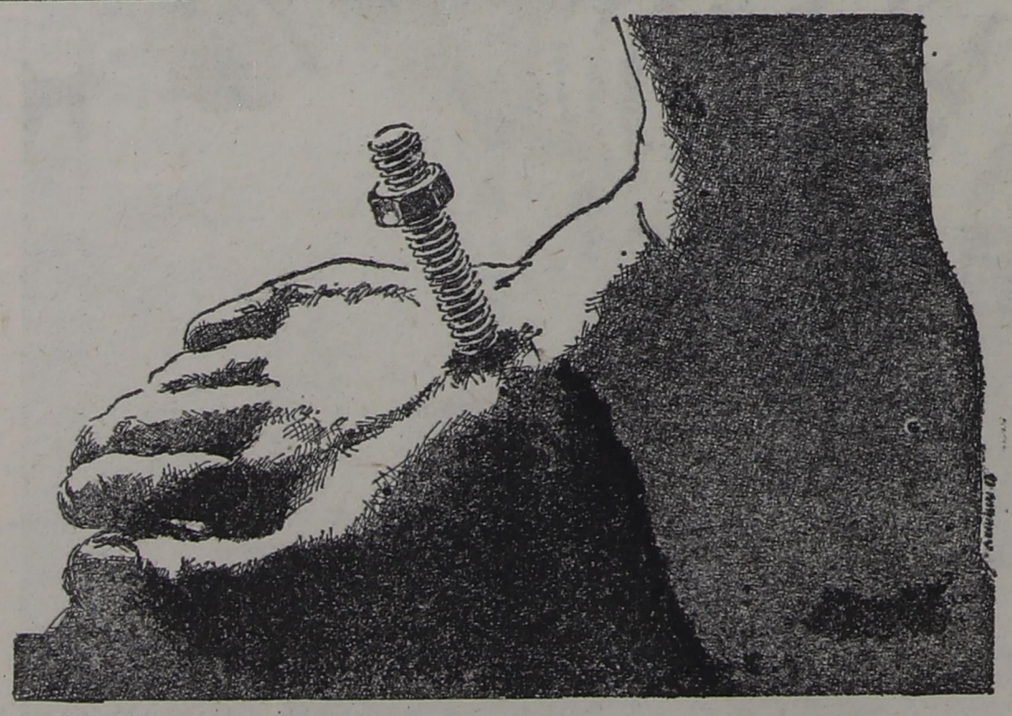

Rys. Antoni Kowalski

NA PIĘCIOLINII

exodus

Ten felieton chciałem zacząć stwierdzeniem, że w ostatnich miesiącach zniknęła jakby z naszych telewizorów znaczna część programów rozrywkowych, ale to nie byłoby prawdą, przynajmniej w potocznym rozumieniu tego określenia. Akcje Redakcji Dziennika Telewizyjnego, polegające na przytaczaniu nigdzie nie publikowanych fragmentów artykułów prasy zagranicznej, w znakomity sposób ową rozrywkową lukę nadrabiają, wprawdzie z opóźnionym zapłonem — gdy podobne praktyki zostają ujawnione przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich — ale fakt pozostaje faktem. Prawdą natomiast jest, że w zastraszającym tempie maleje liczba audycji z udziałem naszych muzyków rozrywkowych i jazzowych. Ratując się przed klęską wprowadzono nowy cykl pn. „Ballady jazzowe", gdzie Andrzej Dąbrowski próbuje jazz śpiewać, a Ptaszyn—Wróblewski — grać go na saksofonie, w obydwu przypadkach bez znaczniejszych rezultatów. Z artystami z kręgu lżejszej muzy jest natomiast tragicznie.

Powód takiego stanu rzeczy wcale nie tkwi w ograniczeniach czasu antenowego, ale w masowym exodusie naszych szansonistów i instrumentalistów za chlebem do krajów Europy Zachodniej (na dłużej) i za oceany (na krócej). O podobnym zjawisku, pustoszącym szeregi filharmoników, mówił ostatnio — jak o tragedii narodowej — Jerzy Waldorff, i chyba tylko przez grzeczność nie podał dokładnej liczby zatrudnionych poza granicami muzyków, ale to temat na osobny felieton. Z USA wrócił przed kilkoma tygodniami Janusz Laskowski (ten od „Kolorowych jarmarków") i zwierzył się, że na jednej z ulic Chicago spotkał więcej znajomych z branży niż na Marszałkowskiej w Warszawie, co daje wiele do myślenia. Laskowski wrócił po miesiącu — bo na tyle opiewał kontrakt — ale inni siedzą dłużej. To, że on wrócił, wcale mnie nie cieszy, podobnie jak raduje długi pobyt małżeństwa Farmerów, ale „Skaldowie" mogliby zacząć koncerty w Polsce, zwłaszcza po kilku nieudanych, a wydanych u nas, płytach długogrających. Po prostu obawiam się, czy rodzaj i sposób wykonywania tam muzyki dodatnio wpływa na poziom ogólny artystów.

Nie tak dawno jeszcze zarobkowe wyjazdy muzyków poza granice kraju dotykały ich dwu kategorii: najlepszych i tych najsłabszych. Oczywiście, różni byli kontrahenci i różne zarobki. Teraz sprawa staje się masowa i jadą wszyscy, zaś indywidualne wyjazdy dotykają całej naszej kultury. Przykład z naszego regionu: rozpada się doskonała grupa jazzowa z Białegostoku — „Antykwariat", dwukrotny laureat krakowskich festiwali „Jazz Juniors", ponieważ dwóch instrumentalistów otrzymało kontrakty z Jugosławii, a więc strefy pieniądza nieco mocniejszego od złotówki. Kontrakty są długie, kariera zespołu krótka. Jeśli zaś opuszczają Polskę najlepsi... przyszłości interpretować chyba nie muszę.

Znowu w kolejnej dziedzinie przegięliśmy pałę, bowiem z finansowego punktu widzenia jest to zjawisko opłacalne dla dwóch stron: zarabiają muzycy, zarabia również „Pagart", który pobiera od nich słone haracze, i to w dolarach. Dzięki tym pieniądzom (ponoć) od czasu do czasu możemy oglądać w kraju najwybitniejszych wykonawców z „drugiego obszaru płatniczego", chociaż największa gwiazda ubiegłorocznego „Jazz Jamboree" — saksofonista Billy Harper występował za złotówki.

Zwykle od felietonu wymaga się pointy, ale tym razem jej nie będzie, bo autor ma na myśli pewien gest, którego nijak na papierze wyrazić się nie da.

JAN JANUSZEK

reklama

TOMASZ PIOTROWSKI

Tragedia wielkich jezior

REPORTER: — W Giżycku jestem w słoneczny dzień. Miasto wydaje się być schludne, zadbane. Takie sprawia wrażenie na pierwszy rzut oka. Ale mieszkańcy wiedzą, że ich miasto toczone jest ciężką chorobą, podobnie jak chore są wszystkie okoliczne jeziora, cały szlak Wielkich Jezior Mazurskich. Tak możemy powiedzieć, panie profesorze?

PROF. DR STANISŁAW BERNATOWICZ: — Tak, zgadza się.

REPORTER: — Pan jest związany z Giżyckiem od lat.

STANISŁAW BERNATOWICZ: — W Giżycku mieszkam od 1945 roku; pracuję tutaj naukowo bez przerwy od końca wojny; w Giżycku zrobiłem wszystkie stopnie naukowe. Zorganizowałem Zakład Gospodarki Jeziorowej w ramach Instytutu Rybactwa Śródlądowego, a po przejściu na emeryturę — pracuję dorywczo w Samodzielnej Pracowni Badań i Kontroli Środowiska w Giżycku, biorąc czynny udział w badaniu stopnia zanieczyszczenia jezior. Ponadto — będąc członkiem Komisji dla Rozwoju Makroregionu Północno-Wschodniego — przy każdej sposobności staram się podkreślić wagę walki z zanieczyszczeniem, potrzebą budowy oczyszczalni ścieków i chronienia wód, które jeszcze nie zostały zdegradowane. Region Wielkich Jezior Mazurskich w planach perspektywicznego rozwoju jest przewidziany jako rezerwuar wody w pierwszej klasie czystości. Niestety, wskutek braku oczyszczalni ścieków, żywiołowego rozwoju ośrodków turystycznych oraz zwiększenia ilości mieszkańców, wiele jezior mazurskich zostało bardzo poważnie zdegradowanych przeżyźnieniem. Jezioro Mikołajki tak silnie zdegradowano ściekami komunalnymi, że już od kilku lat zakazana jest w nim kąpiel. Woda stała się mętna, rozwijają się glony nitkowate. Głównym sprawcą tej sytuacji są ośrodki wypoczynkowe i turystyczne, a głównie Ośrodek Sportów Wodnych Gospodarki Komunalnej, położony przy ulicy Kajki.

REPORTER: — To ironia losu sprawiła, że Ośrodek Sportów Wodnych...

STANISŁAW BERNATOWICZ: — Tak, właśnie. Przez cały okrągły rok tam mieszkają, mają stołówki, i te wszystkie ścieki, przez system szamb, rurociągiem o długości 150 metrów wpuszczają w głąb jeziora. Dokładają się do tego inne ośrodki wczasowo-wypoczynkowe, położone na drugim brzegu jeziora, i miasto Mikołajki. Przy Giżycku leży Jezioro Niegocińskie o powierzchni około trzech tysięcy hektarów. Od lat jest ono bardzo silnie zanieczyszczane ściekami, głównie komunalnymi. Zaledwie dziesięć procent ścieków przechodzi przez oczyszczalnię wybudowaną na wschodnim brzegu tego jeziora, która zresztą zatrzymuje tylko części stałe. W 1901 r., według badań Kona, przezroczystość wody w Jeziorze Niegocińskim wynosiła 4,5 metra. Obecnie spadła poniżej pół metra. Glony nitkowate pływają całymi masami, a wyrzucane na brzeg — rozkładają się i stanowią dla turystów i miejscowych zaporę nie do przebycia. Woda cuchnie, jest brudna, a fale wynoszą całe masy ciemnego osadu, który pochodzi z rozkładu materii organicznych.

REPORTER: — Jak w tej sytuacji można mówić o gospodarce rybackiej?

STANISŁAW BERNATOWICZ: — W Jeziorze Niegocińskim, wskutek zanieczyszczenia, już ustąpiła sielawa, zginęła stynka. Węgorz jest gatunkiem wędrującym, więc od czasu do czasu połowy węgorza mogą być nawet spore, ale to nie jest żaden wskaźnik. Natomiast wskutek degradacji roślinności podwodnej, która stanowi tarliska oraz miejsce wylęgu i schronienia młodych ryb, straciły one warunki egzystencji.

REPORTER: — Do tej pory powiedział pan dopiero o dwóch jeziorach.

STANISŁAW BERNATOWICZ: — Tak. Jezioro Niegocińskie jest w zlewni Węgorapy, to znaczy — płynie na południe. Zatem Jezioro Boczne, przylegające od strony południowej, jest również tak silnie zanieczyszczone, że kąpiel w nim powinna być zakazana. Jezioro Jagodne, leżące dalej na południe, jest tak silnie przeżyźnione, że w roku 1980 nastąpił tam masowy zakwit sinicy. Krowy, które napiły się tej wody, bardzo ciężko zachorowały, a osiem z nich zginęło. A zatem na szlaku Wielkich Jezior Mazurskich — Mikołajki, Jagodne, Boczne i Niegocińskie są bardzo poważnie zdegradowane. Największą troską Giżycka jest Kanał Łuczański, nad którym właśnie stoimy, łączący Niegocińskie z jeziorem Mamry za pośrednictwem jezior Tracz i Kisajno. Do Kanału Łuczańskiego wpływają ścieki w stanie absolutnie nie oczyszczonym. Kanał jest zdegradowany pod względem biologicznym. Jak widzimy — woda tu brunatno-żółta; plankton już prawie nie występuje. Ponieważ Kanał Łuczański leży na dziale wód pomiędzy zlewnią Wisły i Węgorapy, w zależności od kierunku wiatru — woda płynie tym kanałem raz na południe, raz na północ. Jezioro Niegocińskie ma długości dziesięć kilometrów, więc rozbieg fal jest bardzo duży, i podczas długotrwałych wiatrów, wiejących z południa, podpiętrza się poziom wody przy Giżycku i wtedy w Kanale Łuczańskim jest silny prąd. I w tej chwili, chociaż wiatru nie ma, jest prąd w kierunku jeziora Kisajno. Wlewy Kanału Łuczańskiego do Kisajna są tak duże, że plaże ośrodków przy brzegu północnym powinny być zamknięte. Miarą stopnia zanieczyszczenia Kisajna jest bardzo wysokie miano coli: 0,008. Znaczy to, że nie można ze zbiornika czerpać wody nawet na użytek gospodarski, kąpać się ani konsumować ryb. Są to bakterie typu kałowego, które żyją w przewodzie pokarmowym człowieka.

REPORTER: — Ale ludzie o tym nie wiedzą. Nad jeziorami siedzi masa wędkarzy, no i nadal prowadzona jest normalna gospodarka rybacka przez Państwowe Gospodarstwo Rybackie.

STANISŁAW BERNATOWICZ: — Mało tego; władze terenowe wstydliwie starają się ukryć tę sytuację. Kiedyś były tu tablice z napisami: „Kąpiel zakazana". Ale widocznie krępowały decydentów, więc nikt ich nie odnawiał; pochyliły się, wywróciły, a wreszcie — zginęły. A przecież — zgodnie z przepisem — powinny być obstawione nimi Kanał Łuczański, jezioro Niegocińskie, północna część Kisajna i Mikołajskie. Giżycko nie ma żadnego kąpieliska, które nadawałoby się do odpoczynku, a to jest śmierć turystyczna dla miasta.

REPORTER: — Czyli straciło ono połowę swoich walorów.

STANISŁAW BERNATOWICZ: — Co najmniej połowę! Mało tego: ten dość dziwny stosunek władz miasta do otaczającej przyrody może się wyrazić i w tym, że przez sypanie ogromnych ilości soli na ulice zostały zniszczone drzewa. Wyschła w Giżycku przeszło połowa starodrzewia. W sumie: nie ma plaż, woda cuchnie, a do tego stuletnie lipy i dęby zostały powycinane... Proszę bardzo, widzi pan, jak Kanał wygląda: woda jest mętna, brudna i płyną w niej jakieś ciała stałe. Miasto rozważało w ubiegłym roku, czy nie postawić płotu, żeby turyści — bo tu jest ciąg spacerowy — blisko nie dochodzili i nie widzieli, jaka jest sytuacja. Czy to sposób na jej ratowanie? A planuje się oczyszczalnię ścieków na wschodnim brzegu Jeziora Niegocińskiego od lat. Lecz plany patrzą na problem pod względem technicznym, nie uwzględniając w ogóle biologicznego. Oczyszczalnia ma zatrzymać 80 procent fosforu, a cały azot, potas, sód i wapń dalej będą wypuszczane do jezior. Według tych planów — ścieki tzw. oczyszczone będą wrzucone do jeziorka Grajewko, które jest jeszcze czyste biologicznie (49 hektarów powierzchni). W niespełna rok zostanie ono zdegradowane. W takim układzie jeszcze jedno jeziorko zostanie zniszczone, a Niegocińskiemu niewiele się pomoże, i to za wielomilionową sumę, czyli koszt budowy oczyszczalni. Jest takie rozwiązanie: ścieki po oczyszczeniu mechanicznym, czyli maksymalnym odzysku fosforu, rozprowadzić na przyległy teren, gdzie nastąpi — na dużej powierzchni — silne parowanie, a słońce będzie działało bakteriobójczo. Duża ilość tych ścieków zostanie przefiltrowana przez glebę i dopiero dołem woda dostałaby się do Jeziora Niegocińskiego. Zalane tereny porastałyby roślinnością wodną: pałką szerokolistną, sitowiem, trzciną i innymi, które w tak żyznym środowisku rozwijają się niezmiernie bujnie. W końcu wegetacji można ją wyciąć i pleść koszyki, robić maty, płyty i żelatynę; można ostatecznie kompostować i odzyskiwać sole mineralne. Tak postępuje się w Kanadzie, w Związku Radzieckim. A w dolinach zalanych tą żyzną wodą można hodować karpie. Tylko takie rozwiązanie może wyratować Jezioro Niegocińskie.

REPORTER: — Wobec tego dlaczego się go nie stosuje?

STANISŁAW BERNATOWICZ: — Nie stosuje się dlatego, że jest u nas „Kąpiel zakazana". Ale widocznie fascynacja techniką. Musi być maszyna, musi być duży gabaryt i musi to być kosztowne, bardzo skomplikowane.

REPORTER: — Czy istnieje w województwie suwalskim „Raport o stanie czystości wód"?

STANISŁAW BERNATOWICZ: — Samodzielna Pracownia Badań i Kontroli Środowiska w Suwałkach i w Giżycku prowadzi badania wyrywkowe. Nie są nimi objęte wszystkie wody — z uwagi na brak sił, transportu, etatów, pomieszczeń, urządzeń.

REPORTER: — A czy wojewoda suwalski wie, co się dzieje z wodami?

STANISŁAW BERNATOWICZ: — Wojewoda nie może wiedzieć, dlatego że nikt nie wie, ponieważ proces zanieczyszczania następuje bardzo szybko. Należałoby objąć corocznymi badaniami wszystkie wody zagrożone zanieczyszczeniami. W całości zagadnienia nikt nie widzi, ani wojewoda, ani nikt w kraju nie może powiedzieć, jaki jest stan degradacji środowiska wodnego. A ja wiem, że jego sytuacja jest katastrofalna.

TOMASZ PIOTROWSKI

Fot. GABOR LÖRINCZY

PAMIĘTNIK NASTOLATKA

suche majtki na dnie morza

15 lipca

Mam wakacje, jak co roku, na łonie natury, pod gruszą. Same witaminy — powiedziałby mieszczuch. Mieszczuchów oglądam na szosie koło naszego pola, gdzie zaiwaniam po całych dniach — piękne wakacje! Mieszczuchy (różni tacy mamisynkowie i malowane lale) jeżdżą sobie po szosie do lasu, nad rzekę, na spacery, i nie wiem, jak to u nich jeszcze się nazywa. Bimbają sobie — mają dużo czasu — wakacje przecież.

— Patrz, krowa! — dowcipkuje jeden, zobaczywszy konia pasącego się przy szosie. — Nie, to byk — poprawia drugi. Salwa śmiechu dźwięcznego i wdzięcznego, szczególnie panienki w tym celują. Ja bym tak nie umiała się śmiać ani dowcipkować — w ogóle w każdym towarzystwie czuję się skrępowana i nieśmiała, czerwienię się z byle powodu, nie wiem, gdzie mam podziać ręce. Właśnie w towarzystwie, a nie w szkole. Tam jest jakoś inaczej. Na lekcjach do powiedzenia zawsze najwięcej mam ja, bo najwięcej wiem, a inni tylko proszą: podpowiedz albo daj ściągnąć. Tam zresztą są ławki, po których, aby uniknąć zażenowania, można nawet czymś jeździć, a w ręce coś wziąć — w ostateczności nawet zagrać w cymbergaja albo zapalić papierosa. Ale w tak zwanym towarzystwie moja sytuacja jest beznadziejna. Nie umiem rozmawiać o tym, co wszyscy, tzn. o wszystkim i o niczym — aby było śmiesznie. Ileż razy próbowałam w takich rozmowach zrobić jakiś użytek z mojej wiedzy książkowej, tyle razy nie rozumieli albo się śmiali, albo jedno i drugie, a zaufane koleżanki tłumaczyły mi potem, żebym więcej takich rzeczy nie mówiła, bo mi to tylko zaszkodzi. W niedziele i święta nie chodzę więc nigdzie. Wolę czytać książki. Są mądre i nigdy się ze mnie nie śmieją.

20 lipca

Po sąsiedzku wujek i ciocia ze swoimi współmałżonkami radzą sobie fantastycznie z żytem. Kosiarkę spreparowali tak, aby kosiła i zagarniała na snopki, takie nie wiązane, a sami tylko podchodzą, robią powrósła i wiążą. Tempo — w porównaniu z naszym — zawrotne. Nie interesują się nami. Nie odwiedzają nas. My im nie kompania. Ojciec kosi. Ja odbieram, robię powrósła, wiążę; czasami wiąże ojciec. Ciężko. Ale darmo. Maszyny kosztują. Pod wieczór ręce, nogi, żebra, krzyż — wszystko boli. Gdyby można było o tym zapomnieć i uciec gdzieś, gdzie nie ma tego piekła z kłującym cierniskiem! Nocy mało, aby odpocząć, a jutro będzie to samo od początku.

Czasami zastanawiam się, gdzie tu sprawiedliwość w naszym ustroju socjalistycznym. Przecież, tamci na szosie, co dowcipkowali, nie robią po prostu nic, bo są za młodzi, a warunki życia mają o niebo lepsze od moich — wystarczy spojrzeć, jak się ubierają albo zajrzeć do ich domów. Czy to moja wina, że moja matka umarła, a ojciec nie umarł (gdyby umarł, wychowałoby mnie państwo, a wówczas miałabym na pewno lepiej, bo są przecież przepisy, aby młodocianych nie zatrudniać przez więcej niż 6 godzin dziennie). O moim ojcu mówią, że nie umie gospodarować (wyniki rzeczywiście są poniżej krytyki), ale czy oni byliby lepsi na gospodarstwie bez gospodyni? Przecież za matkę nie dostaje ani grosza, mając na utrzymaniu dwoje dzieci. My z siostrą przez 10 miesięcy w roku nie możemy pomóc prawie nic, bo chodzimy do szkoły (na piechotę po 5 kilometrów w jedną stronę), odrabiamy lekcje i ledwo co możemy zrobić w domu. Nie możemy hodować świń, bo przyjdzie „opylacz" i opisze za zaległe podatki. Może już i nie opisze, bo przestał przychodzić. Tyle jest tych zaległości, że ściągnąć ich się nie da. Kiedy był ostatni raz, powiedział do ojca tak: „Pan to by chciał, żeby państwo pana córkom majtki pokupowało". Na to ojciec: „A mogłoby, bo dziewczyny zdolne i dobrze się uczą".

Tak mówi, chociaż obie z siostrą dostajemy w szkole stypendium.

20 sierpnia

Rano ojciec wstaje pierwszy. Mnie żałuje. I tak bym nie dała rady potem odbierać za kosą. Rano na wsi jest między 4.00 a 5.00. Ja wstaję późno, między 7.00 a 8.00. Kiedy chodzę do szkoły, wstaję o 6.00. Jeszcze niedawno nie mieliśmy zegarka, a czas wstawania określaliśmy na podstawie syren z pobliskiej masarni.

Wnętrze naszego domu wygląda co najmniej przygnębiająco. Najprostsze sprzęty. Jedna izba na wszystko, reszta nie wykończona — nie ma za co. Żadnych ozdób — na to nigdy nie było czasu ni pieniędzy. Jedyna ozdoba to papierowa zasłonka na oknie, druga na ikonie w kącie. Ale ja staram się tego nie widzieć. Wyciągam spod poduszki książkę albo jakieś czasopismo. Mogę powiedzieć bez przesady, że taka lektura jest moją prawdziwą matką. Czego się w ten sposób można dowiedzieć! Czego się nauczyć! Pochłaniam tę wiedzę, nigdy nie syta. Za kieszonkowe, a potem za stypendium, najchętniej kupuję gazety i czasopisma, a ojciec tylko się za głowę łapie: „Znowu papieru nakupiła — papierem się nie najesz. Wstawaj, Aniu, bierz się do czegoś, roboty jest dużo". Chowam swoją lekturę, bo wiem, co powie dalej. Staram się o tym nie myśleć. To wszystko tymczasowe, bo w ogóle czeka mnie promienna przyszłość — uczę się dobrze, będę kimś wielkim. Kim? Nie wiem jeszcze. Po ukończeniu szkoły podstawowej nie umiałam podjąć decyzji, odłożyłam ją na później i — poszłam po najmniejszej linii oporu: do ogólniaka, bo był w pobliżu.

5 sierpnia

Nasze odżywianie jest nijakie. Mięsa prawie nie ma. Nie stać nas na to. Na wsi zresztą taka piękna tradycja, że jeżeli coś okraszone, to już się nazywa, że nie z postem, i na ewentualne reklamacje robi się tylko zdziwione miny. Taką minę ma mój ojciec, kiedy mówię, że odżywiamy się po prostu źle i nieracjonalnie. Mleko nie ratuje sytuacji. Zupa jarska, tylko okraszona, jest po prostu nie do przełknięcia, a kluski ziemniaczane, zagniecione z mąką, co dzień takie same i beznadziejne, strącałyby mnie na samo dno rozpaczy, gdyby nie nadzieja, że po ukończeniu wszystkich nauk będę jadła jeżeli nie jak królowa, to co najmniej nie poniżej średniej krajowej. A póki co — zjem te kluski i pewnie setny raz zapytam ojca, jak on tak potrafił się urządzić, kiedy wszyscy naokoło fantastycznie sobie radzą. A przy pracy sobie pomarzę. Jestem w takim wieku, w którym akurat marzenia są bardzo do twarzy.

Bo ja marzę nie tylko o karierze; jeszcze o czymś takim, „o czym marzy dziewczyna, gdy dorastać zaczyna". Dokładnie — o kimś. A jeszcze dokładniej: o Janku. Często kładę się spać na dwóch krzesłach przy oknie, aby widzieć niebo z tamtej strony, gdzie daleko, za horyzontem, mieszka on: smukły chłopiec z oczami jak gwiazdy, małomówny i tajemniczy. Myśli o nim chodzą za mną wszędzie, wiele sobie wyobrażam szczęśliwych sytuacji. Te myśli

to przybliżają go do mnie, to oddalają, czyniąc go kimś nierealnym, takim, do kogo można się tylko modlić, a nie rozmawiać, jak to się zwykle rozmawia z kolegami z klasy. Ci koledzy... są tacy ordynarni, zaczepiają, szczypią, mówią różne obrzydliwości. Janek jest inny. Janek jest grzeczny — powiedziała jedna koleżanka. Inna znów twierdziła, że ciamajda, bo do nikogo się nie zaleca. A ja chwytam każde jego słowo (nieliczne były), widzę i notuję każdy uśmiech i gest. Mogłabym patrzeć na niego godzinami i ciągle miałabym co oglądać. I to uczucie, kiedy zobaczyłam go nagle! Coś ukłuło w piersiach, a ręce i nogi były słabe jak z waty.

3 września

Już szkoła. Chcę, czy nie chcę. Tak źle i tak źle. Na polu zostały kartofle, których nie ma komu kopać. Trzeba wynajmować, kiedy nie bardzo jest za co. Błędne koło. Ten mamy żakiet jest trochę za duży na mnie, ale darmowy. Wprawdzie już dawno nie sądzę, że poprawienie natury czy dbanie o siebie jest oszukaństwem, i nie nastawiam się na to, że mój wybrany pokocha mnie za piękno ducha. Janek też ma powierzchowność proletariacką. Zamiast marynarki — jakaś świta. Spodnie bez kantów. Czupryna wiecznie rozwichrzona. Z przodu brak dwóch zębów. Mówią ludzie, że jego ojciec jest pijakiem, bije matkę i jego. Stąd wywnioskowałam, że Janek jest chłopcem mojego pokroju, taki, co to popróbował wiele złego. Tylko taki mnie zrozumie. Nie będzie go w naszej klasie. Został na drugi rok. Ostatni jego popis z matematyki przed tablicą dotyczył rozwiązania równania kwadratowego. Na widok tego równania zrobił tylko minę, którą nasz matematyk określił jako niezbyt mądrą, i to wszystko. Nawet nie zaczął obliczać delty. Ja to odczułam jako również swoją porażkę i myślałam poważnie o tym, jak mu pomóc, ale nic nie wymyśliłam. Zabrakło mi odwagi.

Pisałam do gazety, do takiego kącika porad sercowych. Odpowiedź przyszła taka: „Za Janka trzeba się wziąć całą klasą". Humor i satyra. W klasie takich tumanów na pęczki; jak nie z matematyką, to z czym innym mają trudności nie do przezwyciężenia Suche majtki na dnie morza. Trzeba było samej się nim zająć. Czas leciał. Później już było za późno.

Z tym Jankiem i jego wynikami w nauce nie była taka prosta sprawa. To zdolny chłopiec, ale jego zainteresowania wykraczały poza program ogólniaka. Zajmował się fotografowaniem. Nawet w szkole założył kółko fotograficzne, a w pokoiku koło kuchni — ciemnię. Słyszałam także, że zarabia już po ludziach za reperowanie odbiorników radiowych i telewizorów. Dla mnie to brzmi bardzo tajemniczo. Ja ani radia, ani telewizora nie widziałam nawet od środka — niczego takiego u nas w domu nie ma. Nie ma nawet prądu elektrycznego (mieszkamy na tzw. kolonii).

15 września

Teraz nastawiam się na to, aby być ładną. To, co widzę w lustrze, napawa optymizmem, resztę sztukuję, jak mogę. Po wakacjach wróciłam z lekko podmalowanymi oczami. Udało się, nikt się nie połapał. Moje odwieczne marzenie o długich i grubych warkoczach zrealizowało się — warkocze wyrosły całkiem niegłupie, a plotę je tak, aby wyglądały jak najobficiej. Pod koszulą noszę ciasno zasznurowaną, rozciętą dętkę od rowera, aby mieć cienką talię, a na wierzchu fartucha — szeroki pasek, dla jej podkreślenia. Ten i ów stwór w spodniach ogląda się za mną. Czuję przypływ optymizmu: nie jest źle, jak na początek. Z tą detką stało się raz coś bardzo niebezpiecznego. To, że kaleczyła boleśnie boki, było pestką w porównaniu z następującą sytuacją: pewnego razu przyszła jakaś nudziarka-higienistka sprawdzać czystość, i to w takich miejscach, do których dotychczas nikt nie zaglądał. Wynikało z tego niezbicie, że trzeba będzie się rozebrać i pokazać wszystkim tę diabelską machinę — mój nie opatentowany wynalazek. Ale udało się. Niby to posłusznie zaczęłam się rozbierać, a potem niepostrzeżenie wmieszałam się między te już obejrzane. Niektóre wpadły i było dużo wstydu, że z higieną na bakier.

3 września

Zaczynam bywać w wiosce. Czy mnie, mającej za ideał Korczagina i Kosmodemiańską, może zabraknąć odwagi? Nawet mi się podoba branie udziału w tym, co wszyscy. Na przykład: na Boże Narodzenie dołączyłam do kolędujących rówieśnic, nie pytając ich, czy mnie przyjmą. Byłam raz na weselu i cały wieczór tańczyłam z jednym chłopcem. Brzydki, bo brzydki, ale na początek dobre i to. Pływam i nurkuję w naszej wiejskiej rzeczywistości wcale sprawnie i nikt się nie domyśla, że wewnątrz czasami jestem tak nieśmiała, aż serce ucieka mi gdzieś w pięty. Wtedy robię bardzo pewny siebie wyraz twarzy albo mówię coś takiego, co świadczy o tym, że jest akurat odwrotnie do tego serca w piętach.

W naszej wiosce społeczność jest jakaś niemrawa, niewesoła i nieciekawa. A jak ktoś zrobi coś ciekawego — komentują to do znudzenia długo i zawsze nieprzychylnie. Nudno.

23 grudnia

Nasze wiejskie społeczeństwo mało jest podobne do społeczeństwa socjalistycznego. Nie wiem, czy kiedyś wpadnie mi w ręce lepsza książka. Teraz „Poemat pedagogiczny" jest dla mnie tą książką, o której się marzy. Mówi o tym, jak się robi coś pożytecznego. Tam jest właśnie moje wymarzone społeczeństwo, w którym chciałabym żyć. Z tego, co tam pisze, wynika jasno, że stworzyć takie społeczeństwo trudno, ale w ogóle jest to możliwe. Może i tak, ale kto to zrobi? Mieliśmy kiedyś przecież spółdzielnię produkcyjną na wsi. I co? Rozpadła się, bo prosperowała gorzej niż ci, co każdy z osobna. A nasza droga ze wsi do Bielska? Bez gumowych butów ani rusz. I tak z dziada pradziada. Gdzie są siły, które zorganizują tu jakiś czyn społeczny na ten głupi kilometr, czy dwa, drogi. Przecież nie ja. Ja od dwunastego roku życia ciągle nie mam czasu. Ciągle pracuję i boleję nad tym, że doba ma 24 godziny, a i tak stopę życiową mam o wiele niższą niż inni. Ale ci inni przecież mogliby się zorganizować, gdyby chcieli. Bywało, że zebrawszy się na odwagę, proponowałem niektórym, poważniejszym, coś podobnego, ale oni mówili: a za co my płacimy podatki? Trudno takiej, jak ja, wiedzieć, czego jest więcej: czy podatków, czy kosztów własnych socjalizmu. Gdzie o tym przeczytać? Jeżeli nawet przeczytam, to przecież „nie wszystko, co drukowane, jest święte".

2 lutego

Babcia umarła. Całe jej życie było mniej więcej takie, jak teraz moje. A do tego straciła dwóch mężów, którzy mieli zwyczaj bardzo szybko przenosić się na łono Abrahama, zostawiając po komplecie dzieci każdy. Pop zaśpiewał swój oklepany repertuar. Parę razy brzęknął dzwon. Tyle awansu dla mojej babki. Płakali po niej różnie: ja w ukryciu, ciocia na widoku. Mój ojciec, nie w ciemię bity, zaraz po śmierci babci załadował wszystko, co mamy, na wóz (razem ze mną) i przewiózł do domu babci, żeby zdążyć przed wujkiem. Zdążył.

Babcię pochowali, a po pogrzebie wywiązała się dyskusja: kto ma mieszkać w chałupie po babci. Mąż cioci, człowiek poważny i cieszący się powszechnym szacunkiem, między innymi dlatego, że był „popieczytelem" w cerkwi, zmobilizował całą swoją cerkiewną swadę, aby przekonać zebranych, iż my tu mieszkać nie powinniśmy. Miał kwiecisty styl, trzeba przyznać. Mój ojciec przytaczał argument niezbity, że ma na utrzymaniu sieroty i że tam, gdzie mieszka, jest zimniej niż na polu, ponadto nie ma światła elektrycznego i daleko do szkoły. Wujek wziął do głowy nasze sieroctwo i ustąpił. Zostaliśmy. Teraz już nie mieszkam na odludziu, mamy światło elektryczne, bliżej do szkoły i zimą zaciszniej. Będzie lepiej.

Póki oni obradowali, ja wymknęłam się na cmentarz. Było ciemno, ale ja się nie boję. Nie mam zwyczaju się bać. Chcę być bohaterką. To mi imponuje. Chciałam trochę pobyć z moimi umarłymi. Tuż obok babci leży moja mama. Umarła na gruźlicę mając 38 lat. Była jedną z przedostatnich ofiar twardej wiejskiej rzeczywistości, w której brakowało miejsca dla chorych: albo się umierało, albo się było zdrowym i pracowało. I tam przysięgałam nad mogiłami dwóch umęczonych kobiet wiejskich, że poświęcę wszystkie siły, aby nikt więcej tak nie umierał.

HANKA
spod Bielska Podl.
FOT. GABOR LÖRINCZY

kontakty kontaktów

W związku z notatką zamieszczoną w nr 29, w rubryce „Kontakty »Kontaktów«", Oddział Wojewódzki Państwowego Zakładu Ubezpieczeń wyjaśnia. Cieszy nas fakt, że autorka listu ma zaufanie i chciałaby pracować w naszym zakładzie, o czym świadczy jej list, jednakże martwi nas to, że tak młody człowiek, który dopiero uczy się należytej pracy, potrafi już w pewnym sensie publicznie na łamach prasy podważać autorytet dyrekcji zakładu oraz organizacji społeczno-politycznych, ponieważ wszelkie sprawy w naszym zakładzie uzgadniane są zawsze z tymi czynnikami. Przejdźmy jednak do meritum sprawy.

Obywatelka Wiesława Rainko została przyjęta do naszego zakładu na czas ściśle określony, tak jak i siedmiu innych absolwentów szkół średnich w okresie sierpnia i września 1980 r., co podyktowane było koniecznością zastępstwa pracownic przebywających na urlopach macierzyńskich oraz pomocy przy nieskomplikowanych pracach w związku z wystąpieniem masowych szkód na naszym terenie. Że jest to praca na ściśle określony czas, świadczy sama umowa o pracę. W przypadku gdyby ktoś z tych pracowników znalazł sobie stałą pracę, w każdej chwili mógł odejść z zakładu. W tym czasie jedna z pracownic odeszła na urlop bezpłatny, w związku z czym wyłoniła się możliwość dalszego przedłużenia umowy o pracę, na co ob. Rainko wyraziła zgodę. Prawdopodobnie dlatego, że nie mogła sobie znaleźć stałej pracy.

W styczniu br. istotnie wyodrębnił się Inspektorat, ale z etatów posiadanych przez Oddział Wojewódzki. W tym czasie nie mówiło się o zwiększeniu liczby pracowników w administracji, a wręcz odwrotnie. Nie wiem więc, kto ob. Rainko obiecał etat stałego pracownika, ponieważ z dyrekcją na ten temat nie rozmawiała.

W kwietniu zwolnił się w Inspektoracie etat pracownicy, która rozwiązała z naszym zakładem umowę o pracę. Przeznaczony on został — po przesunięciach — dla stypendystki naszego zakładu, obecnie już absolwentki Wydziału Prawa Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, która od sierpnia podjęła pracę w naszym zakładzie. Jak z tego wynika — o żadnej złośliwości w stosunku do ob. Rainko mowy być nie może.

Odnośnie zatrudnienia pracownicy, która powróciła z „zagranicznych wojaży", wyjaśniam, że jest ona zatrudniona również na czas określony. Wolnych etatów dla pracowników stałych nadal nie mamy. Sądzę, że zakład byłby dalece nie w porządku, gdyby zrezygnował z pracownika o 5-letnim stażu, a zatrudnił panią Rainko z 11-miesięcznym stażem. Natomiast autorka listu bez skrupułów podjęłaby pracę stałego pracownika, a tę ze stażem 5-letnim wysłała — jak się sama wyraziła — „w siną dal". Jednocześnie chciałbym redakcję poinformować, że z pomocy pracowników zatrudnionych na czas określony zrezygnować nie możemy, ponieważ tego wymaga konieczność zastępstwa pracownic przebywających na urlopach macierzyńskich i bezpłatnych. Zgodnie z kodeksem pracy — pracownica korzystająca z urlopu bezpłatnego może w każdej chwili z niego zrezygnować i przystąpić do pracy na stanowisku, do którego, zgodnie z umową, ma prawo.

Mgr JAN LENARD
dyrektor Oddziału Wojewódzkiego
Łomża

sport

Piłka w „Bawełnie”

Mieszkańcy Łomży czytając afisz informacyjny o mającym się odbyć meczu pomiędzy ZKS „Bawełna” i „Orłem” Kolno mieli prawo być zaskoczeni. Po pierwsze — afisz był estetyczny i czytelny, co w naszym grodzie jest rzadkością, a po drugie: nazwa „Bawełna” kojarzy się z największym łomżyńskim zakładem przemysłowym, a nie ze sportem. Co prawda od dłuższego czasu krążyły po Łomży plotki o tym, że „na »Bawełnie« coś knują”, jednak szczegóły znane były tylko wąskiemu gronu wtajemniczonych i co zacieklejszym kibicom „mającym znajomości”. Większości sympatyków sportu nie mieściło się w głowach, że w czasach gdy w każdej chwili grozi bankructwo ledwie zipiącemu ŁKS-owi, w mieście może powstać nowy klub!

Istnienie Zakładowego Klubu Sportowego „Bawełna” jest jednak faktem, co z kronikarskiego obowiązku niniejszym odnotowujemy. Prawdę mówiąc — jest to zaledwie zalążek klubu, bo nie można go nazwać nawet sekcją. W sekcji przecież powinno być kilka drużyn, a w piłkarskiej przynajmniej trzy: trampkarzy, juniorów i seniorów. Tymczasem klub składa się z jednej drużyny, liczącej kilkunastu zawodników, tyluż działaczy (na jednego zawodnika przypada jeden działacz), nie ma trenera, ale zrzesza kilkuset członków tzw. wspierających, pracowników ŁZPB „Narew”, którzy dobrowolnie (!) zgodzili się opodatkować swoje pobory, co panie z zakładowej rachuby skrupulatnie wykorzystują i każdego miesiąca przelewają na konto klubu okrągłą sumkę. Ta dobrowolność jest swojego rodzaju ewenementem w łomżyńskim środowisku i świadczy w jakiś sposób o atmosferze towarzyszącej powstaniu klubu.

Spontaniczność, z jaką deklarowali składki pracownicy „Narwi”, wyraża brak zaufania do poczynań działaczy ŁKS-u, a właściwie — do poczynań sekcji piłki nożnej tego klubu, świadczy także o zaufaniu załogi do organizacji działających w zakładzie. Bo właśnie z inicjatywy zakładowej „Solidarności”, przy współudziale związków branżowych i Komitetu Zakładowego PZPR, powstał Zakładowy Klub Sportowy „Bawełna”, chociaż w jego drużynie piłkarskiej grają futboliści, będący pracownikami różnych łomżyńskich instytucji.

Działacze „Bawełny” zapewniają, że ich celem nie jest robienie konkurencji ŁKS-ow. I nie mają zamiaru siać zamieszania, ale pewne jest jedno: drużyna wypełnia lukę powstałą w ŁKS-ie, bo ŁKS nie ma drużyny rezerw i właśnie w „Bawełnie” grają byli uczestnicy ligi robotniczej oraz dawniejsi zawodnicy ŁKS-u. Również wśród członków zarządu jest kilka osób, które pełniły różne funkcje w ŁKS-ie.

Plan działania klubu na rok przyszły przedstawia się następująco: jesienią — w oparciu o uczniów Szkoły Podstawowej nr 5 — powstanie drużyna trampkarzy, a w zespole juniorów grać będą uczniowie szkoły przyzakładowej. Być może powstanie również drużyna siatkówki.

Dzisiaj zmorą działaczy jest brak własnego obiektu. Myślą o budowie własnego boiska i już upatrzyli sobie miejsce. Jeden z byłych działaczy ŁKS-u zdradził przekonanie, że gdyby Pilski był dyrektorem dwa lata dłużej, zakład miałby już własny obiekt sportowy, a nawet halę, której dokumentacja pleśnieje gdzieś po szafach.

Ale wtedy nie powstałby ZKS „Bawełna” (przypuszczenie moje).

Powstaniu klubu towarzyszyły również nadzieje, że ten fakt przyczyni się do wzrostu zainteresowania załogi sportem i rekreacją. Na razie sytuacja wygląda w ten sposób, że w zakładzie liczącym ponad trzy tysiące ludzi są trudności z organizacją [illegible] pracowniczej.

Podczas spotkania z przedstawicielami ZKS „Bawełna” proszono mnie, abym na naszych łamach wyraził swoją opinię o grze ich drużyny w meczu z „Orłem” Kolno, wygranym przez włókniarzy 4:0. Moja opinia ma jakoby przyczynić się rozbudzenia zainteresowania sportem i przysporzenia sympatii piłkarzom. Dziękuję za uznanie dla tygodnika, a sympatię piłkarze mogą sobie zaskarbić tylko dobrą grą. Na razie mogę stwierdzić to samo, co powiedziałem swojemu szwagrowi: najlepszy na boisku był Siejewicz, odsprzedany „Bawełnie” przez ŁKS, trener drużyny włókniarzy. Inny eksełkaesiak, Sawko, przestrzelił „jedenastkę”, a nie musiał, bo przy jej egzekucji przechytrzył sam siebie; każdy wie, że wynurzany w błocie bramkarz rzuci się w kałużę, nie na klepisko! Podobał mi się jeszcze taki malutki obrońca, juniorek, oraz ten, co nie dał pograć „Orłowi” z dziesiątką, chodzącemu w glorii pogromcy bramkarza warszawskich harpagonów. Mam pretensję do Siejewicza, że Łukasikowi kazał grać w pomocy, a nie w ataku. Pozostali zaprezentowali się nieźle na tle grających na stojąco zawodników „Orła”, biorąc, oczywiście, poprawkę na paraliżującą ich początkowo debiutancką tremę. Co się natomiast tyczy perspektywy — pożyjemy, zobaczymy.

WYMIATACZ
Fot. Gabor Lörinczy

skrzyżowania

Słoneczny poranek. Grupki spieszących do pracy łomżynian oczekują na chodniku, aż zabłyśnie zielone światło sygnalizatora. Wśród nich, z dala widoczna, sylwetka milicjanta w białej czapce. Z przeciwnej strony ulicy, nie bacząc na czerwone światło, rusza dość młody mężczyzna. Raźno maszeruje przez jezdnię, patrząc wprost na funkcjonariusza MO, który zwraca się do niego z reprymendą. Sugestię, iż należy patrzeć na sygnalizator, młodzieniec kwituje arogancko: — Przecież patrzę!

Przypadek drobny, lecz nie odosobniony. Na wielu z nas przepisy czy znaki drogowe przestały robić jakiekolwiek wrażenie, nie działa już mitygująco milicyjny mundur. Z nonszalancką beztroską, często demonstracyjnie, niektórzy okazują lekceważenie dla prawa i jego przedstawicieli. W owych demonstracjach nie byłoby może i wiele zła (poza bufonadą), ale coraz częściej naruszanie przepisów prowadzi do tragedii. Pieszy przyzwyczajony do przekraczania jezdni na pełnym „luzie”, ginie w wypadku; motocyklista nie lękający się konsekwencji jazdy po pijanemu, zostawia głowę na przydrożnym drzewie, a karetka pogotowia przyjeżdża zbyt późno, bo użytkownicy dróg, nie bacząc na jej włączone sygnały, „zapominają” udzielić pierwszeństwa. Najsłuszniejsza nawet interwencja organów porządkowych wobec tych, którzy zagrażają bezpieczeństwu, budzi ostry sprzeciw postronnych obserwatorów. Ci ostatni, nie zważając na zdrowy rozsądek, obiektywną prawdę, często wręcz uniemożliwiają działanie milicji.

Warto by chyba odpowiedzieć sobie na pytanie: czy milicjant karzący mandatem wbiegającego nieostrożnie na jezdnię działa w interesie społecznym, czy też w swoim własnym? Wszak to nie milicjant omal nie wpadł pod samochód, ani też nie kierował samochodem, nie on w końcu traci życie lub zdrowie w wypadku. A skoro występuje dla dobra ogółu i nie przekracza granic przyjętych środków oddziaływania, to kto i dlaczego mu przeszkadza?

nierządne królestwo

Najpierw — kto. Przede wszystkim pijani przechodnie; „dobrzy” koledzy tego, który nabroił; chuligani; rzadziej — po prostu słabo zorientowani przechodnie, dający się ponieść emocji.

Teraz — dlaczego. Najczęściej: by „odegrać” się za niegdysiejszy pobyt w areszcie, za „zrobienie” kolegium, za uderzenie pałką.

Dodatkowe obawy wzbudza fakt, iż tego rodzaju incydenty nie spotykają się ze zdecydowanym napiętnowaniem społecznym. Tak zwany „porządny obywatel” sprawia wrażenie, jak gdyby ulegał presji chuliganów i rozrabiaków, a z czasem najwidoczniej sam obojętnieje na ich działanie. Brak nie tylko przejawów fizycznego, ale i moralnego wsparcia ze strony „zdrowego” trzonu społeczeństwa, powoduje, że organom porządku publicznego coraz trudniej robić to, czego wszyscy oczekują.

Najświeższy przykład: w końcu lipca młodzi mieszkańcy Łomży uniemożliwili milicjantom zatrzymanie nieletniego przestępcy, gwałciciela, który „dał nogę” z posterunku. Jeden z uczestników zajścia użył odłamka szyby atakując funkcjonariuszy, inni bluzgali stekiem najwulgarniejszych epitetów, blokowali drogę pościgowi. Pikanterii całej sprawie dodaje to, że jedną z czołowych ról w całej operacji „odbicia” gwałciciela odegrała osiemnastoletnia dziewczyna!

Odbijający, w większości podpici, to przeważnie stali bywalcy kolegiów i aresztów (jeden z nich po raz dziesiąty stawał przed kolegium), nie kalający rąk żadną uczciwą pracą. Oni już ponieśli, a pozostali — miejmy nadzieję — ponlosą odpowiedzialność za swój wybryk, co jednak nie zmienia faktu, że milicjanci od początku muszą podjąć poszukiwania uwolnionego przez „uczynnych” kolesiów bandziora, amatora zbiorowej „miłości na siłę”.

Przypomina mi się cytat z „Odprawy posłów greckich” pióra Wielkiego Mistrza Jana z Czarnolasu: *„O nierządne królestwo i zginienia bliskie, gdzie ani prawa ważą, ani sprawiedliwość [...]”.*

DYŻURNY DROGOWSKAZ

kronika towarzysko-rodzinna

pod redakcją Gabora Lörinczego

Anna i Kazimierz Krystosiakowie już 52 lata przeżyli wspólnie w małżeńskim stanie. Za wytrwałość otrzymali medale od Rady Państwa, wręczone im w Urzędzie Stanu Cywilnego w Czyżewie. Jubilatka dumna jest z wychowania dzieci na porządnych ludzi. Jej mąż jako najszczęśliwszy w swoim życiu wymienia dzień powrotu z niewoli niemieckiej w roku 1943.

Celina Jarnutowska z Jarnut i Kazimierz Kulko z Brzezin są rolnikami. 14 sierpnia br. postanowili wstąpić w związek małżeński. Za najszczęśliwszy — uznali dzień zapoznania w Brzezinach. Marzą, by jakoś się urządzić w... mieście.

Bogdan Bochiński, rencista z Łomży, ukończył 50 lat. Z entuzjazmem opowiada o założeniu w roku 1943 — w Piątnicy Poduchownej — koła ZWM. Najdramatyczniejsze dni jego życia to dni walki z bandami w latach 1945—51, a szczególnie pogoń i likwidacja groźnego watażki „szalonego Stasia" i trzykrotne spotkanie w Łojach-Awissa z bandą „Ryby".

10.09.1981 TV 16.09.1981

CZWARTEK 10 WRZEŚNIA 1981 R.

PROGRAM I

6.00. TTR, RTSS — język polski, sem. III. 6.30. Biologia, sem. III. 9.00. Praca-technika, kl. II. 9.55. Język polski, kl. VII. 12.50. Język polski, kl. IV lic. 13.30. TTR, RTSS — chemia, sem. I. 14.00. Biologia, sem. I. 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 17.00 Czwartek TDC: „Hałas", „Spadła z obłoków" (2). 18.00 Informator turystyczny. 18.20. „Poligon". 18.50. „Cypisek, syn rozbójnika Rumcajsa". 19.00. „Sonda". 19.30. Dziennik TV. 20.00 Monitor Rządowy. 20.30. „Aniołki Charliego" — „Błękitne anioły". 21.20. „Pegaz". 22.05. „Śledztwo zostało wznowione" — „Dokumentacja aktu oskarżenia". 22.35 Mistrzostwa świata w pięcioboju nowoczesnym. 22.55. Dziennik TV. 23.10. Telewizja w sprawie miliardów.

PIĄTEK 11 WRZEŚNIA 1981 R.

PROGRAM I

6.00. TTR, RTSS — chemia, sem. I. 6.30. Biologia, sem. I. 8.10 Geografia, kl. VII. 11.00. „Jak powstał twój zeszyt", kl. I—II. 13.30. TTR — uprawa roślin, sem. III. 14.00 Hodowla zwierząt, sem. III. 15.40. Redakcja Szkolna zapowiada. 15.55. NURT: „Psychologiczne problemy zawodu". 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 17.00. Dla dzieci: „Jabłka", 17.25 „W kręgu rodziny". 17.55 „Wesołe melodie". 18.55 „Lekarz radzi" — Anemia. 18.25. „Z kodeksem i bez". 18.50 „Makowa panienka". 19.00. „Skarbiec". 19.30. Dziennik TV. 20.00 Rolnicze rozmowy. 20.10. „Szpital na peryferiach". (2) — „Lęk". 22.10. „Listy o gospodarce". 21.55 Mistrzostwa świata w pięcioboju nowoczesnym. 22.15 Dziennik TV. 22.30 „Bruno Coquatrix i jego Olimpia".

SOBOTA 12 WRZEŚNIA 1981 R.

PROGRAM I

6.00. TTR — uprawa roślin, sem. III. 6.30. Hodowla zwierząt, sem. III. 7.00. Uprawa roślin, sem. I. 7.30. Mechanizacja rolnictwa, sem. I. 9.25. Program dnia. 9.30. „Sobótka" — magazyn nastolatków. 10.55. „Był taki czas służby" — film dokumentalny. 11.25. Klub Sześciu Kontynentów — „Moja Japonia". 12.15.—23.30 STUDIO 2. 12.20. Magazyn Pana Manna. 13.00 „Co słychać w Polsce?". 14.00. W Starym Kinie: „Doktór Murek" w reż. Juliusza Gardana. 15.30 „Przysięga Hipokratesa" — reportaż. 16.00. Dziennik TV. 16.30. Kalejdoskop Kino-Oko: „Siewcy śmierci" i „Zwyczajny dzień". 17.30. Program publicystyczny. 18.00. I liga piłki nożnej. 18.50. Dobranoc. 19.00. „Emigracja" — program publicystyczny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. „Do krwi ostatniej" (2) — „Oni i my". 21.00. Rozmowa dnia. 21.20. „Shakin Pyramids" — program rozrywkowy. 21.45. Dziennik TV. 22.00. Mistrzostwa świata w pięcioboju nowoczesnym. 22.30. „Trumna dla Starskyego". — film sensacyjny. 23.20. Ballady jazzowe Zbigniewa Namysłowskiego.

PROGRAM II

14.00. Program dnia. 14.05. „I gwiazda spada w górę" — film prod. CSRS. 15.35. „Pamiętnik zza kulis sceny" — Zofia Mrozowska. 16.20. Popołudnie Przygody i Podróży. 17.50. „Pierwsze porywy" (2) — film seryjny prod. ZSRR. 19.00. Program lokalny. 19,30. Dziennik TV. 20.00. „Takty" — Biuro Muzyki Rozrywkowej. 21.00. Tańczy Gisele Wehle. 21.40 „Książę regent" (3) — „Narzeczona z Brunszwiku". 22.30. Poeci i ich wiersze. 22.45. 24 Godziny

NIEDZIELA 13 WRZEŚNIA 1981 R.

PROGRAM I

6.10. TTR — uprawa roślin, sem. I. 6.40. Mechanizacja rolnictwa, sem. I. 7.10. TTR, RTSS — „Wiedza naszą szansą". 7.30. Nowoczesność w domu i zagrodzie. 8.00. „Tydzień" — magazyn rolniczy. 8.40. Telewizjada. 9.00. Teleranek, m.in. „Wspaniały świat Walta Disneya" (3). 10.25. Program dnia. 10.30. Antena. 11.00. „Zabytki dawnych kultur" (Mezopotamia) — „Schody do bogów". 12.00. Dziennik TV. 12.45. Telewizyjny Koncert Życzeń. 13.30. „Dlaczego?" — program Redakcji Rolnej. 14.15 „Z kamerą wśród zwierząt" — „Kłopoty z nadmiarem". 14.40. „Miał niebieskie oczy i był dobrze wychowany" — film animowany. 15.30. Muzyczne wspomnienia Witolda Pogranicznego. 15.50. Polonezy ze wszystkich stron. 16.15. Teatr Telewizji (Scena Popularna) — Tadeusz Rittner: „Czerwony bukiet". 17.45. Śpiewa Dionne Warwick. 18.45. Proste pytania. 19.00. Wieczorynka. 19.30. Dziennik TV. 20.00. „Starsza pani znika" — angielski film sensacyjny. 21.40. Sportowa Niedziela. 22.10. Polska muzyka w Lucernie.

PROGRAM II

12.10. Program dnia. 12.15. „Ekologia obronności" — program wojskowy. 12.45. Przeboje tygodnia. 13.45 Kino CDN. 14.15. „Do krwi ostatniej" (2) — „Oni i my". 15.15. Teatr Wspomnień — Adam Mickiewicz: „Pan Tadeusz", księga II — „Zamek" w reż. Adama Hanuszkiewicza. 16.15. Popołudnie Fauny i Flory. 17.00. 17.00. „Kalifornia Reich" — film dokumentalny. 18.00. Koncert WOSPRiT. 19.00. „W zielonym lesie" — film dokumentalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. Telewizyjny music-hall. 21.00. Spotkanie z pisarzem. 21.40. Filmy Stanisława Różewicza: „Piekło i niebo".

PONIEDZIAŁEK 14 WRZEŚNIA 1981 R.

PROGRAM I

13.30. TTR, RTSS — matematyka, sem. III. 14.00. Fizyka, sem. III. 15.55. NURT: „Przygotowanie i stosowanie środków dydaktycznych". 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 17.00. Zwierzyniec. 17.30. Giełda. 17.45. „Ród Gąsieniców" (5) — „Paweł, syn Maćka Gąsienicy". 18.50. Dobranoc. 19,00. Echa stadionów. 19.30. Dziennik TV. 20.00. Rolnicze rozmowy. 20.10. Teatr Telewizji (Scena współczesna) — Sławomir Mrożek: „Dom na granicy". 21.05. „Zapis autoryzowany". 21.35. Godzina ze Stanisławem Hadynem. 22.35. Dziennik TV. 22.50. Studio Festiwalowe.

PROGRAM II

18.55. Program dnia. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. Wieczór Libijski w Telewizji Polskiej. 20.05. „Stare i nowe" — film dokumentalny. 20.40. Libia a świat. 21.20. „Przeprowadzka" — film dokumentalny. 21.40. 24 Godziny. 21.50. „As-Sadaka — znaczy przyjaźń" — felieton filmowy. 22.10. „Karawana" — impresja filmowa. 22.30. „Święto ludowe" — tańce i muzyka libijska.

PROGRAM I

6.00. TTR, RTSS — matematyka, sem. III. 6.30. Fizyka sem. III. 8.10. Historia, kl. VIII. 9.00. Język polski, kl. I lic. 9.55. Plastyka, kl. II. 11.00. Język polski, kl. III lic. 13.30. TTR, RTSS — język polski, sem. I. 14.00. Matematyka, sem. I. 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 17.00. „Sezam". 17.30. Polska Kronika Filmowa. 17.40. Przyroda i postęp" — program Redakcji Rolnej. 18.10. Telewizja Młodych — CDN. 18.50. Dobranoc. 19.00. Klinika Zdrowego Człowieka. 19.30. Dziennik TV. 20.00. Publicystyka DTV. 20.15. „Szeryf z tamtych lat" — western prod. USA. 21.55. Forum ekonomistów. 22.35. Dziennik TV. 22.50. 30 minut z architekturą.

PROGRAM II

18.55. Program dnia. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. „U zarania" — „Pogawędki pod lipą". 20.30. Wtorek Melomana. 21.25. 24 Godziny. 21.50. Wieczór Filmowy: — „James Dean, pierwszy buntownik bez powodu" i „We dwoje".

ŚRODA 16 WRZEŚNIA 1981 R.

PROGRAM I

6.00. TTR, RTSS — język polski, sem. I. 6.30. Matematyka, sem. I. 11.00. Historia, kl. VII. 11.55. Fizyka, kl. VIII. 13.30. TTR, RTSS — biologia, sem. III. 14.00. TTR — mechanizacja rolnictwa, sem. III. 15.55. NURT: „Innowacje metodyczne w nauczaniu matematyki". 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 17.00. Puchar Europy w piłce nożnej. 18.50. Dobranoc. 19.00 „Wędrówki z kamerą" — film przyrodniczy. 19.30. Dziennik TV. 20.00. Filmoteka Arcydzieł: „Henryk V" w reż. Lawrence'a Oliviera. 22.10. „Novi Singers" z zespołem Rogera Foxa. 22.40. Dziennik TV. 22.55. Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

18.55. Program dnia. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00—23.00 KOSMOS 81.

DOMY KULTURY

Miejski Dom Kultury — Dom Środowisk Twórczych w Łomży: koncert rockowego zespołu „Bank" (w sali WDK), 10 IX, godz. 18.00 i 20.00 (bilety do nabycia w dziale imprez WDK, pokój nr 31); występ zespołu Krzysztofa Sadowskiego (w klubie „Bonar"), 11 IX, godz. 18.00 (bilety do nabycia w klubie).

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Grajewie: „Zapraszamy do wspólnej zabawy" — impreza dla dzieci (w programie — gry i zabawy, nauka piosenek, filmy animowane), 12 IX, godz. 11.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Kolnie: „Niespodzianek wiele z Pankracym na czele" — impreza estradowa dla dzieci (w programie — występy iluzjonistów i akrobatów), 15 XI godz. 17.00 i 19.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Wysokiem Mazowieckiem: występy w muszli koncertowej, 13 IX, godz. 17.00.

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Zambrowie: wystawa prac plastyków amatorów, czynna w godz. 8.00—19.00.

Łomżyńska Orkiestra Kameralna — koncert inauguracyjny — sezon koncertowy 1981/82 (w sali Państwowej Szkoły Muzycznej w Łomży), 11 IX, godz. 19.00. Dyryguje Henryk Szwedo. Solista: Danuta Dworakowska — fortepian. W programie: Wolfgang Amadeus Mozart — uwertura „Zaczarowany flet" i Koncert fortepianowy a-dur KV 488; Joseph Haydn — Symfonia g-dur, nr 92. Bilety do nabycia w biurze Orkiestry, ul. Świerczewskiego 36 lub na godzinę przed koncertem w kasie.

WYSTAWY

Salon Wystawowy BWA, ul. Armii Czerwonej 19 (czynny codziennie — oprócz poniedziałków i dni poświątecznych — w godz. 12.00 — 18.00, w wolne soboty i niedziele w godz. 13.00 — 16.00): wystawa malarstwa Jerzego Marosza.

Galeria Dawnej Fotografii, ul. Mariana Buczka (witryną sklepu tekstylnego): „Emigranci łomżyńscy w USA" (fotografia sprzed I wojny światowej).

Galeria Jednej Fotografii, ul. Ściegiennego 1 (witryna sklepu „Foto — Optyka"): Wojtek Surawski — „Ławki".

Galeria „Pod Arkadami", Pl. Żeglickiego (czynna codziennie — z wyjątkiem poniedziałków — w godz. 12.00—20.00.): połączona ze sprzedażą wystawa malarstwa Janusza Lewandowskiego.

Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzywe Koło 1 (czynne codziennie — z wyjątkiem poniedziałków, wtorków i dni poświątecznych — w środy i piątki w godz. 10.00—18.00, w czwartki i soboty w godz. 10.00—16.00, w niedziele w godz. 1.00—17.00); „Wiejski pejzaż" — czasowa wystawa malarstwa ze zbioru Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu.

Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu (czynne codziennie — z wyjątkiem poniedziałków i dni poświątecznych — w godz. 9.00—16.00, w niedziele i święta w godz. 11.00—19.00): „Zwierzęta domowe w malarstwie polskim" — czasowa wystawa dzieł najwybitniejszych malarzy polskich ze zbiorów Muzeum Narodowego oraz prac współczesnych artystów z plenerów w Ciechanowcu.

W razie potrzeby

32-44 — dyżurująca apteka, ul. Giełczyńska 1.

997 — Milicja Obywatelska.

34-61 (do 65) — Pogotowie Energetyczne

999 — Pogotowie Ratunkowe.

999 — Straż Pożarna.

Pogotowie Chirurgiczne, ul. Marii Skłodowskiej-Curie 1. Czynne całą dobę

Dyżury stacji obsługi motoryzacyjnej w dni wolne od pracy: 12 IX — ASO „Polmozbyt" w Grajewie ul. Marchlewskiego 33 a, tel. 24-22; 13 IX — Pomoc drogowa w Łomży, ul. Rybaki 7, tel. 33-43.

Ogłoszenia drobne

SZCZĘŚLIWIE kojarzy małżeństwa Biuro Matrymonialne „Mazury" Olsztyn 2, skrytka 336. k 1466-0

MIESZKANIE dwupokojowe M-3 w Głuchołazach woj. opolskie zamienię na równorzędne w Łomży Wiadomość: Władysława Dębowska, Paderewskiego 4/6 48-340 Głuchołazy. p 1219-0

UWAGA!

KANDYDACI DO OHP

OCHOTNICZY HUFIEC PRACY 22-3

w ŁOMŻY

przy

ŁOMŻYŃSKIM PRZEDSIĘBIORSTWIE BUDOWLANYM

ogłasza zapisy

do 2-letniego stacjonarnego OHP, w którym:

- zdobędziesz zawód w pionie budowlanym,
- ukończysz Szkołę Podstawową lub Zasadniczą Szkołę Zawodową,
- odbędziesz 2-letnią zasadniczą służbę wojskową w ramach szkolenia w oddziałach O.C.

Rekrutacja do OHP w pierwszej kolejności obejmować będzie:

- młodzież do hufców produkcyjnych w wieku 19–24 lata bez ukończonej szkoły podstawowej z nauką w PSZ z kategorią A_1 A_2,
- młodzież do hufców szkolnych w wieku 19–24 lata z ukończoną szkołą podstawową, z obowiązkiem nauki w ZSZ z kategorią A_3.

ZGŁOŚ SIĘ NATYCHMIAST

na adres:

OHP Łomża, ul. Wesoła 117, tel. 20-82.

k 3049-00

Łomżyński tygodnik społeczny, pismo PZPR REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefania Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Nina Omelczenko — sekretarz redakcji, Maur... Adamczyk, Lech Gizelbach, Wiesław Kołowski, Adam Jerzy Socha, Juliusz Świredo, Władysław Tocki, Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zieliński. Fotoreporter Gabor Lörinczy. Redaktor graficzny — Stanisław Kędzielawski. Redaktor techniczny — Zbigniew Henczel. Korekta Elżbieta Słupska. STALE WSPÓŁPRACUJĄ: Andrzej Bartosz, Alicja Basta, Jerzy Bielecki, Jacek Grün, Wiesław Janicki, Andrzej Koziara, Klemens Krzyżagórski, Piotr Kuncewicz, Marek Kusiba, Włodzimierz Pawluczuk, Franciszek Piątkowski, Tomasz Piotrowski, Teresa Polecka, Zbigniew Siedlecki, Waldemar Szpaliński, Andrzej Tchorzewski, Wojciech Woźniak. KONCEPCJA GRAFICZNA — Marek Goebel. ADRES REDAKCJI: ul. Sadowa 10, 18-400 Łomża. Tel. 34-95, 40-32, telex — 853249. WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch" Białostockie Wydawnictwo Prasowe w Białymstoku. Druk Białostockie Zakłady Graficzne. Zam. 1367/81. Nakład 20.000. A-5. PL ISSL 0208-6840 — Nr indeksu 36328. Ogłoszenia przyjmuje: Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. tyg. Kontakty, 18-400 Łomża, ul. Sadowa 10, tel. 34-95, 40-22 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch" na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

KONTAKTY

MINI-KABARET

PIEKIEŁKO

PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY

DIABELSKIE OBRACHUNKI

Jak z pewnością pamiętamy, diabelski aktyw społeczno-polityczny...

DOJLICKI: Stop! Co za diabli, skąd ta polityka? Dać wam tylko palec, to zaraz pociągniecie za całą rękę, która wyciąga się do was w geście pojednania na bazie pamiętnych porozumień, wiecie, rozumiecie.

BUŻAŃSKI: Nie chorzyście aby? Kogo opieprzacie?

DOJLICKI: Już ja wiem, kogo. W imię jedności muszę dokonać skłócenia i podziału.

NARWIAŃSKI: Wyrażacie się niezbyt jasno, ale diabeł z wami tańcował, gdyż i tak was rozumiem. Polityczna apolityczność winna być wzorem dla wszystkich, poza nami. My albowiem, bądź co bądź, było nie było, mamy wyłączny monopol na polityczny rozsądek i niepolityczną prawdę.

BIEBRZAŃSKI: Kto przy mnie mówi o monopolu, temu gotów jestem dać w mordę!

DOJLICKI: Ot i widzicie, koledzy! Kontrrewolucja w osobie wała Biebrzańskiego, uniósłszy głowę, pokazała w całej okazałości swoje rogi. Popatrzcie odważnie i bezkompromisowo. Oto jej piekielne oblicze, które godzi nie tylko w nasze sojusze, ale także w ogólne porozumienie szczegółowe.

BIEBRZAŃSKI: Co wy mi tu, do diabła, chcecie amputować?

DOJLICKI: My was w całości zamputujemy.

BIEBRZAŃSKI: Przepraszam za pardon, miałem na myśli imputowanie.

DOJLICKI: No to my was w całości zimputujemy.

BIEBRZAŃSKI: Litości. To tragiczna pomyłka! Mnie mianowicie chodziło wyłącznie o monopol smołówkowy. Język mi się plącze od nadmiaru trzeźwości, może który skoczy do jakiejś wiedźmy po flaszkę?

BUŻAŃSKI: Myśl przednia, aczkolwiek możliwość tylna. Ostatnio tylko u Pewexowskiej można się spodziewać litości, o ile w dodatku będzie miała dobry humor.

NARWIAŃSKI: W związku z powyższym jestem za rychłym wprowadzeniem reformy gospodarczej, którą trzeba jednakże wprowadzać powoli i ostrożnie, żeby czegoś czasem nie wprowadzić.

DOJLICKI: Nie kadząc wam, kolego, należy stwierdzić, iż myślicie pryncypialnie i politycznie, co jeszcze raz potwierdza słuszność moich poglądów na tezę zawartą we wstępie mojego dzisiejszego wystąpienia. Skoczcie, Biebrzański, po flaszkę, cam dychę, niechę mnie to kosztuje!

BIEBRZAŃSKI: Ile? Na jakim wy świecie żyjecie szanowny kolego? Za dychę możecie, dostać pudełko zapałek!

DOJLICKI: Nic nie rozumiecie. Przecież ta dycha to jest wyłącznie rekompensata. Przyniesiecie flaszkę, golniemy i wtedy będziemy mogli zacząć negocjacje. Daję wam słowo, że coś tam w końcu wynegocjujecie.

NARWIAŃSKI: Biegnijcie, kolego, możecie mu wierzyć. Sięgnijcie tylko pamięcią w przeszłość. Każdy coś tam zawsze wynegocjował.

WIESŁAW TOMASZEWSKI

DONOS NR 21

Piekło centralne swą bezkonfliktowość gardłami wszystkich skotłowanych w kotłach poświadczyć może. Wiadomo, że stoi ono twardo na stanowisku ugody i kompromisu oraz zawsze gotowe jest na rzeczowy maraton dyskusyjny i sprawę potrafi zdecydowanie naświetlić piorunem. Trzeba jednak umieć powiedzieć dość.

Przez palce patrzyła rogata brać na poczynania kilku kiepsko opierzonych aniołków, co przykręcili śrubę ekologiczną i przydusili parę zakładów-trucicieli. Nie można jednak odebrać wielomilionowej rzeszy palaczy środka, w którym piekło widzi panaceum na wykończenie tego śmierdzącego światka. Czyż może być coś wspanialszego od nikotyny? Konia z nóg zwali, a bez konia reszta długo nie pociągnie, zwłaszcza przy ustawicznym popuszczaniu cugli jego złośliwości panu Nowemutworkowi. Kiedy wszystko było na najlepszej drodze, masz wiedźmo sabat, musiał ktoś w całej sprawie ogona umoczyć.

Wobec powyższego piekło jest nawet zdecydowane nie dać żaru pod kotły, a dać bobu w kotły i zdjąć wszystkie pokrywy.

DODATEK ŚCIŚLE JAWNY

PRACA ZAWODOWA

Akcja siewna zespołu gospodarczego naszych sympatycznych wiedźm udała się nadzwyczaj. Bujne pokrzywy i łopiany wyglądają malowniczo, zwłaszcza przy okazałych gmachach.

I po co było to pesymistyczne bajdurzenie, że wszystko u nas marnie rośnie, a nawet ma tendencje spadkowe?! Przy okazji warto dodać, że apetyty też rosną, ale jest to zwykła relacja między psem a kością, wyrażana potocznie krótko: o, psiakość! Ponieważ nie jest to temat zdatny do dyskusji, przykryjmy go schludnym, lecz na miarę epoki, ogonkiem.

Piekło centralne informuje, że piesze wycieczki z dna w górę kotła mogą odbywać się jedynie grupowo z udziałem przewodnika. Jednocześnie dementuje się pogłoskę, jakoby miał wejść do tradycji rokroczny dzień otwartych pokryw.

WYTYCZNE

Stołek dobrze wygrzany pokona kryzys zapałczany.

WSKAZÓWKI

Z powodu urlopu zegarmistrza wszystkim aktywistom zostawiamy wolną rękę, przykuwając nogę (tak na wszelki wypadek).

TWÓRCZOŚĆ

Nader dziwny paradoks, włos dęba mógłby stanąć sąsiadom — oto w mieście roi się od kolejek, a komunikacja jak kulała, tak kuleje.

Z upoważnienia NSDW Czarnego vel Hańczaka do publicznej wiadomości podał TADEUSZ CHARMUSZKO

RODZI SIĘ MUZEUM

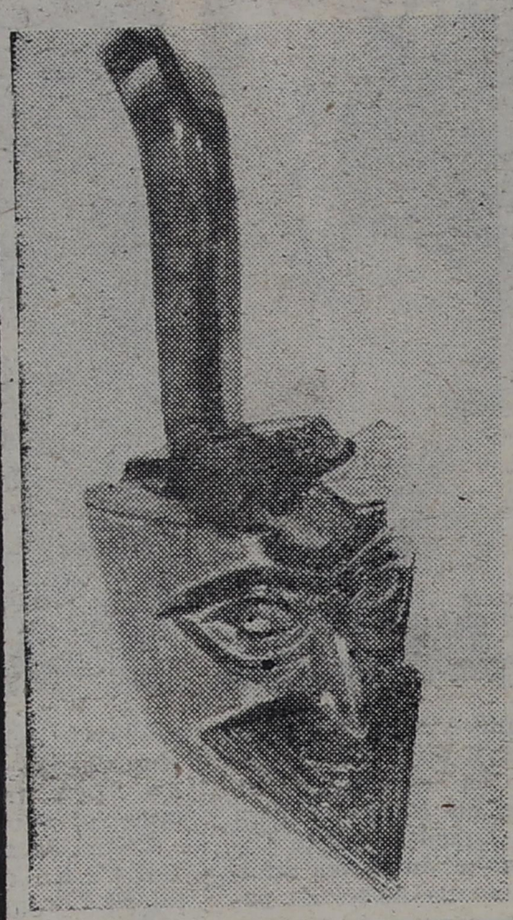

Ów zadowolony czort należał do państwa Anny i Andrzeja Kuchniewskich. Dziękujemy. Nadal przypominamy: czekamy na eksponaty do przyszłego muzeum. Przyjmiemy w redakcji — bez żadnych ograniczeń i w dowolnej postaci — wszelkie maszkary, czarownice, diabły, strachy, dziwadła oraz albumy, książki, dokumenty i opowieści z nimi związane. Hojność zostanie nagrodzona wpisem do Złotej Księgi Ofiarodawców. Każdy wpis ze zdjęciem eksponatu opublikujemy na łamach „Kontaktów".

Sennik – przepowiednie niechybne

Diabła widzieć

Czapkę kupować lub mieć na głowie — pomyślność; czapkę zgubić — strata szczęścia.
Czad czuć — przykry wypadek.
Dach oglądać — zasadzki na ciebie; dach pokrywać — dobre utrzymanie domu; chodzić po dachu — dobra nowina; złazić z dachu — nieszczęście.
Dąb widzieć — zawrzesz znajomość; rąbać dąb — dowiesz się o przykrym wypadku.
Daktyle jeść — obfity zysk.
Dama — bawić się w towarzystwie.
Daninę płacić — rozrost majątkowy.
Dary otrzymywać — poniesiesz stratę.
Defraudować — areszt za sprawy pieniężne.
Dentysta — ktoś bliski zachoruje.
Desenie układać — rozwiniesz swój interes.
Deski widzieć — wesele; chodzić po nich — kłopoty familijne.
Deszcz padający wolno — zysk; ulewny — smutek.
Diabeł — będziesz oszukany w ważnym interesie.
Dławić kogoś — pokonasz wroga.

I STAŁA SIĘ CZELNOŚĆ

POMYSŁ: MARCIN WOLSKI
ADAPTACJA I RYS.: JÓZEF BURNIEWICZ

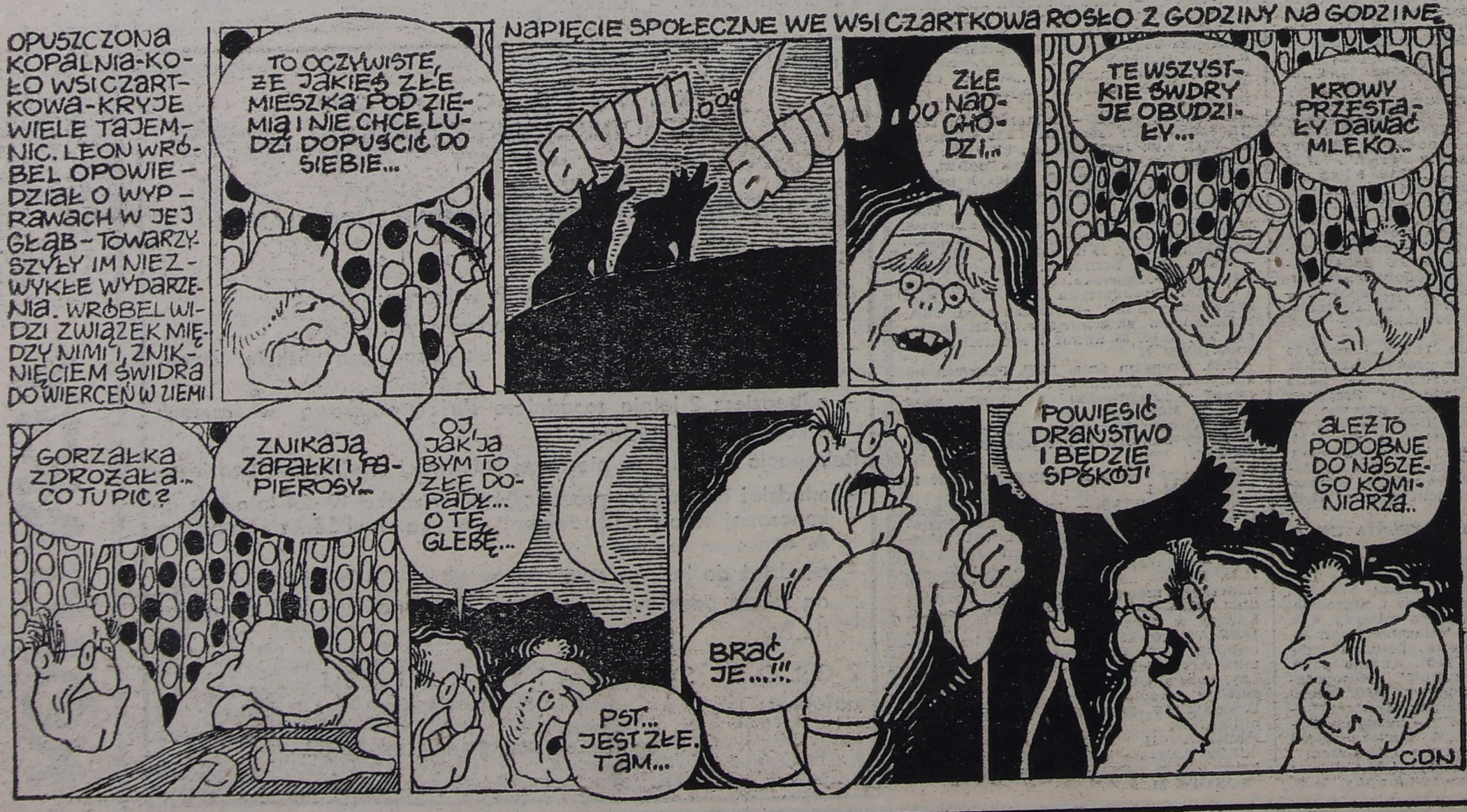

POKUSY
organ samoistny
pod redakcją Andrzeja Koziary
POKUSY